



MICHALIK Z P. P. S.

20803, <http://rcin.org.pl>

WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI.

2

MICHALIK Z P. P. S.

POWIEŚĆ.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

WARSZAWA—1910.

NAKLAD I DRUK TOW. AKC. S. ORGELBRANDA S-ÓW
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI E. WENDE I S-KA
(T. HIŻ I A. TURKUL).

NICHALIK & P. P. S.



WARSZAWA - 1910
WYDAWCA: WILK & CZAJKA
KRAJE GÓRNY & KRAJE DOLNE 1 1/2

361

Instytut Polonij
<http://rcin.org.pl>
KSIĘGOTWÓRSTWO

I.



Wyszedszy koło południa z domu, Michalik powłókł się ociężałym krokiem do ogrodu Luksemburskiego, licząc, że spotka tam znajomych. Musiał przejść cały Paryż prawie, ponieważ od kilku dni nocował przygodnie w pracowni pewnego znajomego malarza, który mieszkał wysoko na Montmartre. Był to dla Michalika punkt bardzo niewygodny, gdyż wszystkie jego znajomości i stosunki koncentrowały się po drugiej stronie rzeki, w okolicach Pantéonu i bulwaru Montparnasse, ale ponieważ wybór mieszkania nie od niego zależał, lecz od przypadkowych zrządzeń losu, więc pocieszał się myślą, że lepiej mieszkać daleko, niż wcale. Był przygnębiony, gdyż poprzedniego dnia nie jadł wcale, a i dzisiaj nie zapowiadał się lepiej. W domu znalazło się jeszcze trochę herbaty, ale spirytusu

już zabrakło, więc Michalik musiał rozpocząć dzień naczczo. Poza tem spotkał go dotkliwy zawód: miał nadzieję pożyczania od swego malarza choć z pół franka, okazało się jednak, że malarz posiadał całego majątku jedno dziurawe sou.

Szedł powoli, kryjąc się w cieniu kamienia przed słońcem, które prażyło tego dnia tak strasznie, że aż asfalt miękł i uginał się pod stopami. Z powodu niedzieli ulice były mniej gwarne i ruchliwe, niż zwykle. Co kilkadziesiąt kroków Michalik mijał jakąś restauracyę, i widok poustawianych na chodnikach biało nakrytych stołów, przy których mnóstwo ludzi już jadło śniadania, zaostrzał w nim głód i doprowadzał go do piekielnych wybuchów złości przeciwko sytym i opasłym burzujom.

W ogrodzie Luksemburskim spotkał, jak się spodziewał, Grązewskiego, Pehlarza i Kotkiewicza. Wszyscy trzej siedzieli na ławce, w wąskiej alejce, okalającej fontannę Medyceuszów, i mieli miny tak przygnębione, iż, ujrawszy ich z daleka, Michalik odgadł od razu, że żaden nie miał ani grosza. Ale, podszedłszy, zapytał się odruchowo:

— Ma który co?

— Ma—mruknął Pehlarz, uśmiechając się ironicznie...

I dorzucił ordynarny wyraz.

— Psiakrew, żeby choć papierosa! —

westehnął Michalik, przysiadając się na czwartego na ławce.

Grażewski wyciągnął z kieszeni szarą paczkę tytoniu i podał mu ją bez słowa.

— Masz!—krzyknął radośnie Michalik.

Gorzej może od głodu dokuczał mu brak tytoniu. Szybko skręcił papierosa i zaciągnął się dymem z rozkoszą. Tak go to oszołomiło, że aż doznał lekkiego zawrotu głowy.

— Nie się nie wymyśli — odezwał się nagle Grażewski z rezygnacją w głosie.

Ogród o tej porze był prawie zupełnie pusty. Przez gąszcz drzew słońce padało jasnym blaskiem na żółty żwir alei. Po ziemi, tuż koło ławki, skakały tłuste, spasiono wróble, dziobiąc piasek.

„Tym złodziejom to dobrze“ — pomyślał smętnie Michalik i ze złością począł je płoszyć laską. Kotkiewicz, oparłszy głowę o poręcz ławki, wyciągnął nogi przed siebie i spał w najlepsze. Michalik zazdrościł mu tego snu. Zadarłszy głowę do góry, widział nad sobą szmat czystego, błękitnego nieba, po którym uwijało się parę rozstrzępionych, przejrzystych obłoków. Zbudziło to w nim nagle nieokreśloną tęsknotę do wolnej przestrzeni.

Zerwał się z ławki.

— Chodźcie!—krzyknął.

— Czego się drzesz?—oburzył się Kotkie-

wiecz, zły, że go obudzono ze snu. Dokąd pójdziemy?

— Tak... gdziekolwiek... tu się nie nie wysiedzi.

— Przespać się przynajmniej można.

Kotkiewicz, nie mając tej nocy gdzie spać, wałęsał się do rana po Paryżu. Dlatego był śpiący i nie chciało mu się wstawać z ławki.

Michalik stał koło ławki niezdecydowany. Nie chciało mu się od towarzyszków odłączać, a z drugiej strony gorączkowe zdenerwowanie nie pozwalało mu długo usiedzieć na miejscu.

Wszyscy byli apatyczni i zmęczeni, rozmowa się nie kleiła.

— Podłe życie!—westchnął Michalik.

— W Warszawie dałby sobie człowiek radę—odparł melancholijnie Pehlarz. Poszłoby się do pierwszego lepszego sklepu i byłyby pieniądze.

— Czemuś nie został w Warszawie?

— Wiesz,—odparł Pehlarz, ożywiając się nagle,— że ja czasem naprawdę żałuję. Kto wie, możeby mi dali katorgę... Z Sybiru zaw sze drapnąć można, uciekłbym na Amerykę... tamby może było łatwiej...

— Tak gadasz, boś nie był...

— Idziesz?—odezwał się nagle do Micha-
lika Grażewski, wstając i przeciągając się le-

niwym ruchem. Ja pójdę z tobą. Może się co wykręci.

— W tym kącie tutaj nikogo się nie spotka.

Podniecony błyskiem chwilowej nadziei, Kotkiewicz zrezygnował ze snu i przyłączył się do nich.

Grążewski, który wciąż przeliczał w mózgu znajomych, myśląc, od któregooby można parę franków wyciągnąć, przypomniał sobie jeszcze pewnego ormianina, z którym się poznał w kraju, w więzieniu w Brześciu Litewskim. Poszli go szukać. Ormianin mieszkał daleko, na krańcach miasta, koło parku Montsouris, w dodatku Grążewski nie wiedział numeru domu. Z trudem udało mu się odnaleźć ten dom wreszcie, ale po to tylko, aby się dowiedzieć, że ormianin wyjechał przed tygodniem do Londynu. Wyszukana grzeczność, z jaką stara odźwierna udzieliła im informacyi, utwierdziła ich w przekonaniu, że ormianin musiał wogóle mieć pieniądze. Tem do-
tkliwsze było więc rozezarowanie.

Zniechęceni zupełnie, przeszli przez ogród na wały fortyfikacyjne. Do miasta nie chciało im się z powrotem wracać, gdyż byli pomęczeni, a przytem nie mieli po co wracać właściwie. Na fortyfikacjach roiło się od ludzi. Michalikowi, który był sentymentalny, przypomniały się nagle Bielany i straszna tęsknota za Warszawą ścisnęła mu serce. Aż mu

się łączy zakręciły w oczach. Odlączył się od towarzyszków i szedł sam z tyłu, nie chcąc, aby spostrzegli jego wzruszenie. Żalostnem spojrzeniem ogarniał gromadki spacerowiczów, które się porozkładały na stokach wału w wysokiej trawie, zaśmieconej gazetami i papierami. I łączy płynęły mu coraz gęściej z oczu. Na szczęście Pehlarz, Grązewski i Kotkiewicz, zajęci rozmową, nie zwracali na niego uwagi.

Przedziwna jakaś żalność rozplynęła mu się po duszy. Dolatywały go wesołe śmiechy, śpiewy, cała ta biedota podmiejska, która wyległa na powietrze i słońce, była rozba-wiona, jak gdyby najmniejsza troska nigdy nikomu nie zajrzała w oczy. Ale Michalik, choć nawpół omdlewający już z głodu, nie zazdrościł im w tej chwili tego, że jedli i pili. Zupełnie nowe, nieznanne dotychczas uczucie zbudziło mu się nagle w duszy. Nie próbował go określać. Ot, po prostu żał mu było Warszawy; miał ochotę rzucić się na ziemię i płakać, płakać, dopóki nie zasnął.

Po chwili otrząsnął się jednak z tego wzruszenia. Pojął, że takie rozmazgajenie nie miałoby sensu. Nieznacznie wytarł chustką oczy i przyśpieszył kroku, żeby dogonić towarzyszków.

Wyciągnęli się wszyscy w trawie na samym skraju głębokiej fosy. Z resztek tytoniu

Grażewskiego udało się jeszcze skrócić cztery papierosy. Kotkiewicz, ledwo się położył na ziemi, zaraz zasnął i po chwili zaczął głośno chrapać. Grażewski i Pehlarz wpadli na pomysł zabawy, która ich obu rozentuzyzmowała i pochłonięła zupełnie.

— Gdybyś miał kogo „zrobić“ na rue de Seine, pomiędzy rzeką a bulwarem Saint-Germain, w którą stronę byś uciekał: do rzeki, czy do bulwaru?

— Do bulwaru—odparł Pehlarz po chwilowym namyśle.

— E... frajer... Tam na rogu jest komisarjat, od razu by cię nakryli.

Potem na przemian wymieniali różne punkty miasta, sprzecząc się, w którą stronę najlepiejby było uciekać po dokonaniu zamachu.

Michalik nie brał udziału w tej zabawie. Wciąż walezył ze wzruszeniem, nie mogąc go stłumić. „A to mnie wzięło dopiero!“ myślał, dziwiąc się temu rozdelikaceni nerwów. Potem, wsparłszy głowę na łokciach, zapatrzył się przed siebie. Aż do linii horyzontu ciągnęła się olbrzymia, płaska równina, przecięta błyszczącym plantem kolei żelaznej, po którym raz po raz przelatywały pociągi, podobne do olbrzymich, czarnych gadów. Wśród pola tu i owdzie sterczały samotne domy, niektóre nie pokończone jeszcze i okryte rusz-

towaniami. W jednym miejscu drewniana baryera, połyskująca srebrzyście w słońcu, wydzielała zpośród traw kwadratowy szmat czarnej, ubitej ziemi. Michalikowi przypomniało to Plac broni pod Warszawą. Uśmiechnął się mimowoli i nie chcąc się poddawać wzruszeniu, które go znów ogarnęło, zwrócił się do kolegów.

— Wymyślmy co?

— Wymyśl, kiedyś mądry.

— Podłe życie...

— Pewno, że podłe... Człowiek codzień zdycha powoli z głodu.

— I zdechnie.

Kotkiewicz, który od kilku chwil nie spał i, gwiżdżąc z cicha przez zęby, przysłuchiwał się ich rozmowie, odezwał się nagle:

— Pieniądze mieć łatwo...

— Łatwo—powtórzył Grążewski, mierząc go przeciągłym, ironicznym spojrzeniem.

Tamten nie mógł wytrzymać jego wzroku, zmieszał się, spuścił oczy ku ziemi. Po chwili, unosząc się gwałtownie, odezwał się ze złością w głosie:

— Cóż ty myślisz, że ja chcę szpielem zostać?..

Grążewski wzruszył ramionami.

Kotkiewicz poczerwieniał, widocznym było, że chce coś jeszcze powiedzieć i siłą woli opanowywuje rozdrażnienie. Potem odwrócił

się, począł garściami wyrywać trawę z ziemi i rozdmuchiwać ją po powietrzu. Michalik przypatrywał mu się z nieokreślonym uczuciem w duszy, które graniczyło niemal z trwogą. Na niczem nie mógł oprzeć swoich podejrzeń, ale wyczuwał intaicyjnie, że Kotkiewiczowi jakieś złe zamiary chodzą po głowie. Nie po raz pierwszy przyłapywał go już na tych niedomówieniach, które mimowoli wyrywały mu się z ust, jakby świadcząc o jakiejś głuchej, wewnętrznej walce, jaka się w nim toczyła. Kotkiewicz zażywał wielkiego miru wśród kolegów. W Warszawie był on jednym z najdzielniejszych bojowców. Należał początkowo do „pepeesów“, później, gdy go wyrzuciono z partii, udowodniwszy mu złodziejstwo, przyłączył się do niezależnej organizacji rewolucyjnej, znanej w mieście pod nazwą partii Dziada. Właściwie nie była to partya, tylko wolna grupa bojowców, powyrzucanych z rozmaitych frakcyi za przestępstwa, lub też takich, którzy powystępowywali sami, nie chcąc się poddawać partyjnemu rygorowi. „Dziad“ słynął z bezczelnej odwagi i brawury, którą się lubił popisywać, urządzając „kawały“.

Pewnego razu wybrał się z towarzyszami na obławę na łapaczów. Udało im się dwóch złapać, zaciągnęli ich do konspiracyjnego mieszkania i urządzili nad nimi sąd polowy.

Obu Dziad skazał na kożę. Przez dwa dni trzymano ich w ciemnej piwnicy, potem wypuszczono na wolność. I w tej grupie straceńców, zdecydowanych na wszystko, Kotkiewicz zasłynął z odwagi. Dopiero w Paryżu się zmienił, stracił humor, narzekał na nudy i nieraz żałował głośno, że się dał namówić do ucieczki z kraju. W tem wszystkim, oczywiście, nie nie było dziwnego: zwykła melancholja, jaka na każdego najść może; ale poza tem wyrywały mu się czasami powiedzenia, same przez się, może nawet nie nie znaczące, ale wypowiedane takim tonem, że budziło to zastanowienie. Michalik czuł, że i inni, choć nikt nie mówił o tem głośno, dzielą jego podejrzania. I lęk go zdejmował. Nie umiał sobie wytłómaczyć takiej zmiany w duszy ludzkiej inaczej, jak tylko działaniem jakiejś niewytłomaczonej, fatalistycznej siły, której człowiek musiał uledeć. Widywał już w Warszawie przykłady, że najdzielniejsi ludzie, którzy sto razy, gwiżdżąc, nadstawiali głowę pod stryżek, nieraz, gdy ich aresztowano, bez najmniejszej przyczyny w świecie zaczęli „sypać“. I to nie jacyś durnie i głupcy, którzyby się dali wziąć bezmyślnie na fortele szpiegowskie, ale najsprytniejsi i najinteligentniejsi. Taki Franek—myślał Michalik, przypominając sobie jednego ze swoich warszawskich znajomych. Był wesół i wyga, jak to się mówi: na

cztery nogi kuty. Podczas rewizyi znaleziono u niego kamień do litografii. Przy śledztwie pyta go się oficer, wiodący śledztwo: „Co to za kamień“? A Franek: „A to, panie pułkowniku, spałem i śniło mi się, że się złodzieje do mnie dobijają. Kiedym wstał i zobaczył, że to panowie, to mi ten kamień spadł z serca“. Tak przez kilka miesięcy zbywał pytania kpinkami, a potem jednego dnia sam się kazał do kancelaryi zaprowadzić i kilkunastu towarzyszków wydał. Napróżno Michalik łamał sobie głowę nad wyjaśnieniem takich przemian. Były niepojęte. I ogarniała go zaboronna trwoga, żeby i na niego „nie przyszło“. Kiedyś, w dzieciństwie jeszcze, bawiąc się na podwórzu, znalazł starą rycinę, przedstawiającą dyabła, który siedział na dachu jakiejś wysokiej kamienicy i zarzucał na przechodniów wędkę. Tak mu się ten obrazek wrył w pamięć, że choć lata minęły, pamiętał go najdokładniej. I tak przedstawiała mu się w wyobraźni owa tajemnicza niewidzialna potęga, która czychała gdzieś w Paryżu, wyławiając z mrowiska ludzkiego nieszczęśliwych i głodnych.

— Czyżby i Kotkiewicz?—myślał, przyglądając się z pod oka towarzyszowi. I ogarnęła go trwoga tem większa, że uważał Kotkiewicza za jednego z najdzielniejszych i najważniejszych ludzi.

— Która to godzina może być?—odezwał się nagle Pehlarz.

— Koło czwartej będzie—odparł mu apatycznym głosem Grązewski.

Znów zapanowało milczenie. Wszyscy czterej leżeli na trawie, zapatrzeni bezmyślnie przed siebie. Słońce migotało im przed oczami, jak gdyby krzesząc w niebieskiem powietrzu drobniatkę, złote iskry. Kotkiewicz gwizdał z cicha przez zęby. Michalik ślecił oczami białą smugę dymu, która, kłębiąc się powoli, płynęła ku górze ponad plantem kolei żelaznej. Najgorsze było to, że już nie mieli co palić. Nieopodal od nich rozłożyło się na trawie nowe towarzystwo: kilku robotników włochów z dziewczętami. Jeden grał na mandolinie i wszyscy przyśpiewywali chórem wesołe skoczne piosenki. Michalik przysunął się po chwili na sam brzeg wału i spojrział w dół, w głęboką fosę. Mazyka denerwowała go zawsze, a teraz zwłaszcza, kiedy był zmęczony i miał gorączkę z głodu, tak go te śpiewy rozdrażniły, że znów czuł ściskanie w gardle i całym wysiłkiem woli musiał panować nad sobą, żeby się nie rozplakać.

— Żeby tak człowiek miał odwagę — myślał,—toby odrazu było już po wszystkim.

Z zadumy zbudził go nagle dziwny, warkliwy turkot, który rozległ się gdzieś w górze, pod samem niebem. Żdziwiony podniósł gło-

wę, śpiewy obok umilkły. Tuż ponad nimi, środkiem błękitnej przestrzeni powietrza, płynął wielki, podłużny balon, podobny zdaleka do jakiejś olbrzymiej, fantastycznej ryby, pokrytej złotawą łuską. Mknął równym, szybkim lotem ponad podmiejską równiną, potem zataczając niewielkie półkole, zakręcił w bok.

— Widzisz, jak zakręcił!—krzyknął z podziwem Pehlarz.

A Grażewski westchnął.

— Ot, żeby to się w Warszawie miało taką sztukę...



II.



Przed wieczorem, kiedy powracali do miasta, Kotkiewicz ujął Michalika pod rękę i, idąc, zwalniał wciąż nieznacznie krok, tak, że w końcu zostali o kilkanaście kroków za towarzyszami. Wtedy Kotkiewicz odezwał się nagle:

— Oni idą szukać Kusego. Ja się z nimi na rogu pożegnaj, powiem, że wracam do domu, ty chodź ze mną.

— Dokąd?

— Zobaczysz... nie pożałujesz.

Michalik wykonał machinalnie, co mu kazano. Miał takie usposobienie, że nie umiał oprzeć się nieczyjej woli. Najszczęśliwszy był wtedy, gdy mógł się przyłączyć do jakiegoś kolegi, który nim rządził. Niemiło mu było trochę zostawać z Kotkiewiczem, ponieważ zasuggerstyonował się podejrzeniami, ale uległ

jego rozkazującemu tonowi. Ostatecznie Kotkiewicz był jednym z najlepszych kolegów, a jego podejrzenia opierały się tylko na jakichś nieokreślonych wrażeniach. W głębi duszy Michalik czuł dla siebie pogardę za swój sentymentalizm i nadmierną wrażliwość

Kiedy, odłączywszy się od towarzyszków, skręcili w boczną ulicę, Kotkiewicz obejrzał się przezornie, czy tamci za nimi nie patrzą, potem zaśmiał się z cicha i wyciągnąwszy z kieszeni błyszczącą, srebrną pięciofrankówkę, mignął nią przed oczami Michalika.

— Widzisz ?

Michalik osłupiony wytrzeszczył oczy.

— Toś ty miał pieniądze ?

— Znalazłem.

— Nieprawda.

— A cóżeś ty myślał, że gdybym był miał, tobym przez cały dzień głodny chodził ?

Ten argument przekonał Michalika najzupełniej. Nie mógł tylko wyjść z podziwu, jakim sposobem udało się Kotkiewiczowi pięć franków znaleźć. Było to niepojęte, jak cud.

— W trawie leżała... Wszyscyście koło niej przeleźli i nikt nie zauważył—mówił Kotkiewicz rozentazyzmowanym głosem. Ja patrzę, coś mi pod nogą błysnęło, nachylam się... jest.

— Może fałszywa ?...

Kotkiewicz, nie nie odpowiadając, pochylił się i cisnął pięciofrankówkę na chodnik. Zabrzączała metalicznym, srebrzystym dźwiękiem. Wyprostował się dumnie.

— Doskonała.

Jednakże po pierwszej chwili radosnego wstrząśnienia, wnet przykre myśli zamroczyły Michalikowi duszę. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że wobec tamtych dwóch, którzy również przez cały dzień nie jedli, Kotkiewicz postąpił bardzo nie po koleżeńsku, a nawet wprost po świńsku. I to poczucie psuło Michalikowi humor. Sam pozuwał się zawsze bardzo gorąco do obowiązków koleżeństwa. Przyszło mu nawet na myśl, czy nie należałoby rzec się zaproszenia Kotkiewicza. Z wyrzutem spojrzął na niego.

— Czemuś tamtym nie powiedział?

Kotkiewicz wzruszył ramionami.

— Grażewski jest drań—odparł krótko.

Potem, widząc, że ta jego odpowiedź nie-mile dotknęła Michalika, dodał łagodniejszym tonem:

— Na czterech nie starczyłoby pieniędzy... We dwóch najemy się przynajmniej, a oni dadzą sobie radę.

Rozumowania temu Michalik nie mógł odmówić słuszności. Lepiej było, żeby się dwóch najadło porządnie, niż żeby wszyscy czterej mieli niedojeść. Uspokoiwszy wyrzuty sumie-

nia, wesół szedł za Kotkiewiczem. Znów był pełen podziwu dla jego wyższości i nawet szczęśliwe znalezienie pięciu franków przypisywał specjalnym zaletom jego umysłu. Inni nie spojrzeli — on spojrział. Wszystkie podejrzenia, jakie niepokoili go jeszcze przed chwilą, wywietrzały mu z głowy.

Jedli obiad w milezeniu, przy kawie dopiero Kotkiewicz się odezwał:

— To się tem skończy, że ja dam Grązewskiemu po mordzie i to ostro!... Weiż się mnie bydlę czepia. Dziś, jakem tam powiedział, że pieniądze mieć łatwo, tak się uśmiechnął... Psie jego szczęście, że byłem głodny i nie chciałem awantury zaczynać. Powiedz sam, czy nie mam racyi?

Michalik przyznał mu ją szczerze. Wino zakręciło mu w głowie i gotów był w tej chwili duszę oddać za Kotkiewicza.

— Jemu się zdaje, że cały świat szpicie, a tylko on jeden uczeiwy się znalazł... A w Warszawie co? Gdy inni łba pod stryczek nadstawiali, to sam po wiecach szczekał. Gadać nie trudno. Wszystko złodziej na złodzieju... Posyłała cię partya w Warszawie, a teraz?... Jak pięć franków czasem wyżebrzesz, to już im się zdaje, że Bóg wie, jaką łaskę ci zrobili... A niby o co człowiek wojował?... Dużo mnie obchodzi, czy za pięćdziesiąt lat będzie dobrze, czy źle, jak

mnie już dyabli wezmą; ja chcę, żeby mi było dobrze, póki żyję, a inni niech się sami o siebie martwią... No, nieprawda?

— Prawda—potwierdził Michalik.

— Ty masz rozum, z tobą można gadać przynajmniej. Taki Grązewski od razu mi z wielką ideą wyjedzie... Udław się, hycła, swoją wielką ideą. I ja byłem głupi, dopóki mnie nędza rozumu nie nauczyła. I jakby taki Marks wstał z grobu i dziś do mnie przyszedł, to wiesz, cobym mu powiedział?

— No?

— Nie. Gwizdnąłbym przez gębę, żeby mu się odechciało drugi raz socjalizmy układać. I jakby mi dali dziś władzę, tobym tak wieształ, powiadam ci, i nie burżujów, tylko naszego brata! Głodnyś, podyndaj na stryczku, to ci się żreć odechce...

Rozgorączkował się, na twarz wystąpiły mu ceglaste, suchotnicze ramienie.

— Paryż... żeby się pod ziemię zapadł,— syczał jadowitym głosem. Tu, choćbyś chciał kraść, to nie wiesz, jak się wziąć do tego, bo nasi sami darnie, a z francuzami się nie dogadasz... Manili naród, złodzieje, że po rewolucyi będzie lepiej... Masz, jakie ci lepiej... Cóżem ja to na szpielów strzelał, żeby tu z głodu zdychać... Burżuje, co mieli, to i mają, nie się nie zmieniło... nie... nie... Ja im pokażę rewolucję, popamiętają mię oni!...

Przerwał, bo mu się papieros rozkleił. Zawinał z powrotem starannie tytoń w bibułkę, zalepił śliną i ochłonawszy nieco, dodał spokojniejszym tonem:

— Powiedz, czy nie mam racyi ?

— Może masz — odparł wymijająco Michalik.

— W duszy nie przyznawał mu jej wcale. Raził go nawet niemile wybuch nienawiści Kotkiewicza, a ostatnia groźba wprost zatrwożyła, budząc wszystkie uśpione chwilowo podejrzenia. Przenikliwie spojrzał na kolegę, jakby chcąc raz wreszcie wydrzeć mu z oczu tajemnicę. Ale Kotkiewicz po chwilowym wybuchu złości, jakby przygaśł. Zamglone spojrzenie błędziło gdzieś bezmyślnie w przestrzeni. Jakiś dobry instynkt pchał Michalika, żeby się wdać z nim w rozmowę, przekonać go, czuł jednak, żeby mu słów zbrakło. Wichrzyły mu się najrozmaitsze myśli po głowie, tyle ich jednak było, że nie wiedział od której zacząć. Dlatego też nawpół przyznał Kotkiewiczowi słuszność. Gdyby był zaprzeczył, musiałby to uzasadniać, mówić, a mówić nie potrafił. Ale niewypowiedziane te myśli, nie znalazłszy ujścia, rozpląnęły mu się po duszy rozgoryczeniem. Zaczęło mu ciążyć towarzystwo Kotkiewicza. Spojrzał na zegar, wiszący nad kontuarem, pokrytym cynkową blachą i szybko zerwał się z miejsca.

— To już za dziesięć jedenasta. Maszę uciekać. Widzisz, ja nie u siebie mieszkam, nie mogę budzić faceta po nocy—dodał tonem usprawiedliwienia.

Kotkiewicz strzyknął śliną przez zęby.

— Idź—odparł obojętnie.

— Ty zostaniesz ?

— Pójdę. Po dyabła mam tu siedzieć!

Zbliżył się do bufetu, żeby zapłacić rachunek. Otrzymawszy resztę: franka z drobniemi, odliczył połowę i podał ją Michalikowi.

— Masz.

— Dajesz mi ?—zadziwił się Michalik.

— Jak razem, to razem.

Kilkadziesiąt kroków uszli w milczeniu. Wieczór był duszny i parny. Oddychało się kurzem i ostrą wonią wyziewów kuchennych. Kotkiewicz włókł się powoli zmęczonym, ociężałym krokiem. Od czasu do czasu zatrzymywał się i oglądał z ponurym błyskiem w oczach za przechodzącymi kobietami. Kiedy wyszli na ładny i jasno oświetlony bulwar, wyciągnął nagle do Michalika dłoń na pożegnanie.

— Do widzenia.

I nie czekając odpowiedzi, przeszedł szybko na drugą stronę ulicy. Michalik, zdziwiony tą gwałtowną zmianą w usposobieniu kolegi, śledził go przez kilka chwil oczami. Kotkiewicz, przeszedłszy na drugą stronę,

przystanął, jakby namyślając się nad czemś, potem wolnym, niezdecydowanym krokiem powlókł się wzdłuż krat, okalających ciemny już i pusty ogród Luksembarski.

— Coś z nim jest—pomyślał Michalik.

Po części rad był, że się rozstali, bo rozmowa z Kotkiewiczem drażniła go i męczyła, choć z drugiej strony, przykro mu też trochę było, że pozostał sam. Poszedł bulwarem w kierunku rzeki, rozglądając się po werandach kawiarni, czy nie dojrzy gdzie kogo znajomego. Chciało mu się pogadać, jeszcze z ludźmi, a przede wszystkim jaki nocleg znaleźć, gdyż na Montmartre nie mógł już wracać. Było za późno. Musiałby dzwonić do bramy i opowiadać się stróżce, która i tak już podpatrzyła, że nocowywał u Steina (tak się jego malarz nazywał) i stanowczo przeciwko temu zaprotestowała. Michalik nie chciał Steina narażać na przykrość, zwłaszcza, że malarz wogóle, jako lokator, nie zażywał w kamienicy powagi. „Ścierwo baba!”—pomyślał, krzywiąc się z oburzeniem, ale bez złości w duszy.

Ostatecznie perspektywa spędzenia nocy pod gołym niebem nie przestraszała go wcale. Zjadł dobry obiad, miał całą paczkę tytoniu i, co najważniejsze, było ciepło. Zdarzało mu się już nieraz podczas deszczu włóczyć do rana po mieście.

Kiedy wyszedł nad Sekwanę, owionął go świeży, przyjemny chłód od wody. Rozejrzał się po niebie, było czyste, roziskrzzone gwiazdami, nigdzie najmniejszej chmurki.—No, dziś to już deszczu napewno nie będzie—pomyślał z zadowoleniem. I tak mu się wesoło naraz zrobiło na duszy, że porzucił myśl szukania znajomych i noclegu. Oparł się łokciami o kamienny parapet wybrzeża i wsłuchał w głąchy, zwarty szum alicznego gwaru, którym wrzało dokoła miasto. Jak okiem sięgnąć, wzdłuż obu brzegów rzeki, tysiące żółtych i zielonych światełek odbijało się w wodzie, migocząc drżącemi smugami wśród fal, które raz po raz z głuchym szumem uderzały o kamienne podmurowanie bulwaru. Ponad ciemną, zwartą masą domów, po drugiej stronie wody, jaśniała na niebie rudawa łuna. Wielkie, złote litery naprzemian zapalały się i gasły w oddali ponad dachami.

— Psiakrew, Paryż! — zaklął Michalik, spluwając z rozmachem przed siebie.

III.



iedy nazajtrz koło dziesiątej rano wrócił na Montmartre do pracowni Steina, uderzył go niezwykle widok. Malarz, który sypiał, zazwyczaj do południa, a w dniach wyjątkowej biedy potrafił i do zmierzchu nieraz leżeć w łóżku, był już na nogach i z olbrzymią szczotką w ręce, zakasawszy rękawy po łokcie, krzątał się po obszernym pokoju gorączkowo, zamiatając podłogę. Na widok Michałika roześmiał się wesoło.

— Doskonale, że pan przyszedł—pomoże mi pan sprzątać.

I odrazu dał mu szczotkę. Sam usiadł na krzeselku, obtarł pot z czoła i, zapalając papierosa, który zgasł mu w ustach i wisiał przyklepiony do wargi, odezwał się z głębokiem zastanowieniem w głosie:

— Pojęcia nie miałem, że zamiatanie tak męczy. Właściwie można było zawołać kon-sierżki i jej kazać to zrobić, ale wie pan...

Reszta zdania utonęła w westchnieniu, które Michalik zrozumiał.

Nie pojmował za to wcale owej fury porządku, jaka ogarnęła nagle jego gospodarza. Szedł do domu z myślą, żeby się rzucić na stary materac, który mu służył za pościanie, i odespać nieprzespaną noc. To, co ujrzał, tak było nieoczekiwane, że go zelektryzowało. I nie pytając się o nic, z zapalem począł zamiatać podłogę. Stein, aby mu nie przeszkadzać, usiadł na poręczy krzesła i nogi oparł na siedzeniu. Stamtąd wydawał rozkazy.

— Niech pan zmiecie po prostu to wszystko pod łóżko. Będzie prędzej.

— Pod łóżko?

— Wszystko jedno. Nakryje się perskim szalem i nie będzie widać.

— Nie zauważył pan tam na mieście, która godzina?

— Teraz to już będzie wpół do jedenastej—odparł Michalik.

— Zegarek mi się popsuł i jestem, jak bez ręki—mruknął Stein, zeskakując z krzesła. Ów zegarek był już od dwóch lat popsuty, malarz jednak, nie mogąc się widocznie z tą stratą oswoić, zaznaczał ją za każ

dym razem, gdy się pytał kogokolwiek o godzinę.

— Wpół do jedenastej! Trzeba się spieszyć! — krzyknął. Za pół godziny wszystko musi się tu świecić i błyszczeć.

I widząc zdziwione spojrzenie Michalika, dodał tonem usprawiedliwienia:

— Pan myśli, żem ja zwaryował nagle, prawda? Dlatego nie pytał mnie się pan weale, co to wszystko ma znaczyć.

Michalik uśmiechnął się nieokreślenie. Uśmiech ten również dobrze mógł wyrażać przeczenie, jak i potakiwanie. Stein podszedł ku niemu, położył mu ręce na ramionach i, zdając sobie sprawę z efektu, jaki miały wyrzucić jego słowa, odezwał się po pewnej chwili dopiero:

— Mój mecenas przyjechał do Paryża.

— Ha!... — krzyknął szczerze ucieszony bojowiec—przyjechał?

Nie było dnia, odkąd mieszkał u Steina, żeby mu malarz nie opowiadał o tym mecenasie, przedstawiając go zresztą zazwyczaj, jako ostatniego rzędu szubrawca. Uczucie radości więc, którem weszła teraz jego dusza i które udzieliło się i Michalikowi, było co najmniej niekonsekwentne. Ale bojowiec nie miał czasu zastanawiać się nad tem. Zabłysnęła mu w duszy nadzieja nieokreślona, nie oparta na niczem, ale jasna i ciepła, jak

promień słońca. Z podwójnym zapalem rzu-
cił się do sprzątania. I nim pół godziny zdo-
łało upłynąć, pracownia zmieniła się do nie-
poznania. Imponująco zwłaszcza przedsta-
wiała się łóżko, nakryte wielkim perskim sza-
lem, który Stein kupił był kiedyś nad kanałem
koło placu Bastylli. Michalik czyścił co się
dało, przestawiał rzeczy, wydmuchiwał, sa-
piąc, jak miech kowalski, karz ze wszystkich
szczelin, taki go zapal do porządkowania
ogarnął, że chciał myć palety i nalał już na-
wet spirytusa na spodek. Stein wyrwał mu je
z rąk z oburzeniem.

— Czy pan oszalał?

Potem, jakby przypominając sobie, że ma
do czynienia z człowiekiem o znacznie niż-
szym poziomie inteligencyi i kultury artysty-
cznej, dodał łagodnym tonem:

— Niech pan siada... Resztę ja już sam
zrobię. Chodzi o to, żeby nie znać było, że
świeżo posprzątane... Dobrze? — zwrócił się
po chwili do przypadkowego współlokatora.

Michalik był szczerze zachwycony.

— Mógłby pan bał wydać—odparł z prze-
jęciem.

Stein uśmiechnął się ironicznie i potrzę-
snął głową.

— Nie, panie drogi, teraz dopiero jest
wstrętne... Jabym tu dwadziestu czterech go-
dzin nie wysiedział. Wie pan, jak tu wygląda?

Użył porównania, które rozśmieszyło gwałtownie Michalika.—Z tydzień czasu trzeba będzie, nim tu się napowrót przyzwolicie zrobi—ciągnął, rozglądając się z żalem dookoła.—Ale trudno, skoro się ma z takim głupim bałwanem do czynienia...

Zmarszczył brwi, jakby zastanawiając się nad czemś. Potem machnął z rezygnacją ręką.

— Zobaczymy zresztą... Przez najtwardsze czaszki przenika czasami promień opatrności do mózga.

Przed samą dwunastą Michalik usnął się dyskretnie. Dzięki paru frankom, które dostał od Steina, mógł zjeść obiad. Zaraz po obiedzie wrócił do pracowni. Malarz dał mu klucz, zapowiadając, iż resztę dnia spędzi w towarzystwie swego mecenasa i nie wróci, aż w nocy... Michalik, piekielnie zmęczony, rzucił się na łóżko Steina i zasnął odrazu. Kiedy się obudził, dziwnie rzeźki i wypoczęty, nie umiał sobie zdać na razie sprawy, jak długo spał i która to godzina. W pracowni było jeszcze widno zupełnie. Dopiero po chwili zastanowiła go jakaś niezwykła cisza.

— Chyba ja całą noc przespałem — uśmiechnął się zadziwiony.

Usłyszał w korytarzu znajomy odgłos kroków Steina. Zerwał się z łóżka i pobiegł otworzyć drzwi z klucza.

— Nie śpi pan już!—krzyknął malarz.

— A czy to późno?

— Szósta rano.

Stein był rozpromieniony. Kapelusz zesunął z fantazyą na tył głowy, w ustach trzymał olbrzymie cygaro.

— Bawiliśmy się, powiadam panu... pojęcie ludzkie przechodzi. Swoją drogą, co to robi Paryż... Zapełnie inni są ludzie u nas w kraju, a inni tutaj... Tak mi się udało chłopca rozruszać... Mówiłem panu, że kanalia. Nieprawda! Ja jestem kanalia, żem takie rzeczy mówił... Najmilszy człowiek pod słońcem!

Potem, chwytając się raz po raz za piersi dla zatamowania czkawki, która zaczęła go męczyć, z najdrobniejszymi szczegółami opowiadał Michalikowi przebieg nocnej zabawy.

Nagle pobladł, jak trup.

— W tych dobrych knajpach... zawsze czemś... człowieka strają — jęknął złamanym głosem.

IV.



małej, zadymionej salce ścisł panował taki, że Michalik raz po raz musiał się usawać z krzesłem przed łokciami tańczących par. W monotonnym zgiełku, podobnym do brzęczenia pszczoł, rozkołysana melodia walea przyciechała czasami i snuła się labieżnie, jak nieskończony, przeciągły pocałunek, to znów zrywała się, jak płomień z pod skrzypiec muzykantów w czerwonych frakach, i zdało się, iż się rozsypuje wśród sinych obłoków dymu, niby deszcz iskier. Wino zakręciło Michalikowi w głowie — zdawało mu się, że cała sala kołysze się do taktu muzyki, i wszystko migotało mu w oczach, jak kolorowy sen. Obok, przy sąsiednim stoliku, siwy, zasuszony staruszek trzymał na kolanach tęgą blondynę, wydekoltowaną nicomal po sam pas.

Całowali się tak namiętnie, że staruszkowi widocznie temu brakło, czerwieniał i sinemi pręgami nabrzmiewały mu żyły na skroniach. „Że go szlag nie trafi, złodzieja“—myślał Michalik. Białe, wielkie plecy sąsiadki błyskały mu przed oczami, owiewał go ostry zapach perfum.

Rozgorączkowany, z wypiekami na twarzy, śledził roziskrzonym wzrokiem tańczące pary. Raz po raz ktoś się ocierał o niego, wyczuwał w przelocie ciepło miękkich ciał i aż mu oddech tamowało w piersiach. Bez-wiednie coraz silniej i silniej wpijał się palcami w kieliszek, aż mu szkło skruszyło się w ręce.

— Już pan kieliszki tłucze!—roześmiał się Turowski.

Mecenas Steina, dowiedziawszy się od malarza o Michalika, zapragnął go poznać, ciekaw, jak wygląda prawdziwy bojowiec. Oświadczył Michalikowi na wstępie, że socy-
listów wogóle nienawidzi i kazałby ich wszyst-
kich powywieszać, ale dla bojowców ma sym-
patyę za ich odwagę. Michalik nie starał się
przeniknąć zawilej psychologii tego rozróż-
nienia... Pochlebilo mu bardzo uznanie bur-
żuja.

Usłyszawszy uwagę Turowskiego, ocknął się z rozmarzenia i zmieszał.

— Nic się nie stało—aspokajał go szlachec.

Bawiło go podniecenie Michalika i przyglądał mu się z wesołym uśmiechem.

— Wesoło tu, co?

Michalik nie odpowiedział nawet, wznosił tylko oczy do góry z wyrazem jakiegoś niewypowiedzianego entuzjazmu.

Od tygodnia żył, jak we śnie, Tarowski i Stein prowadzali go wszędzie ze sobą i spędzali wieczory w teatrach, a noce w barach, które olśniewały go swoim przepychem. Od czasu przyjazdu mecenasa Steina ani razu nie był po lewej stronie rzeki i nie widział nikogo ze znajomych. Nie tęsknił za nimi. Nowe życie oszołomiło go najzupełniej i nie chciał nawet myśleć o tem, że się ono pewnego dnia skończy tak samo niespodziewanie, jak się zaczęło. Stein pożyczył mu na czas przyjazdu Tarowskiego ubranie, i bojowicie wyświeżony, wystrzyżony, w wysokim kołnierzyku, który nie pozwalał mu swobodnie poruszać głową, po raz pierwszy w życiu, przeglądając się w lustrach, stwierdzał z zadowoleniem, że wygląda, jak prawdziwy arcyksiążę.

— A mój panie, jakież to jest uczucie, jak się tak człowieka na ulicy zastrzeli? — odezwał się po chwilowem milezeniu Tarowski.

— Jakie uczucie?—powtórzył powoli Michalik, chcąc zyskać czas do namysłu.

Wogóle to było najgorsze, że musiał wciąż

opowiadać szlachcicowi o „rewolucyi“. Nie posiadał najmniejszego daru wymowy. Gdy myślał, zdania układały mu się w głowie bardzo gładko jedno za drugim, ale gdy otwierał usta, by coś opowiedzieć, myśli wnet mu się rozpraszały, doznawał wrażeń, że „założyły jedna za drugą“ i nie mógł dojść z nimi do ładu. Na szczęście, wyręczał go Stein. Bojowiec zaczynał tylko opowiadanie, po paru pierwszych słowach malarz mu je przerywał i ciągnął sam, kreśląc tak barwne i przejmujące grozą obrazy z rewolucyjnego życia, że Michalik sam ich słuchał z zaciekawieniem.

Sam on w rzeczywistości niewiele miał do opowiadania. Wstąpił w Warszawie do partii rewolucyjnej, ulegając sugestyi paru przyjaciół, z którymi żył blisko; pomimo szczerzej chęci jednak, nie potrafił się nigdy przejąć ideami, które oni z fanatyzmem głosili. Wyuczył się mechanicznie na pamięć kilkudziesięciu zdań i wmawiał w siebie, że to są jego przekonania. A wmawiał, ponieważ powiedziano mu, że byłby świnią, gdyby myślał inaczej. Brał udział w paru zamachach, poddając się rozkazom partii z cichą, bezmyślną rezygnacją, i duszę wypełniała mu wieczna chorobliwa trwoga, żeby go nie aresztowano. Czuł bowiem, że nie starczyłoby

mu siły na śledztwie i że od razu zaczęłby sy-
pać towarzyszków.

Na szczęście, nie aresztowano go jednak. Partya ułatwiła mu ucieczkę—i, idąc za przy-
kładem kolegów, przyjechał do Paryża. Nie-
wesoło rozpoczęła się tu jego nowa karyera. Znajomy, do którego miał się zgłosić, nie
mieszkał pod wskazanym adresem i Michalik
od razu znalazł się na bruku. Przez dwa
dni, nie jedząc i nie śpiąc, wałęsał się po
mieście, zabłąkany, jak w lesie wśród labi-
ryntu zgiełkliwych ulic, których piekielny ha-
łas ogłaszał go i oszałamiał. Cudem, gdy już
omdlewał prawie z wycieńczenia, napotkał
Pehlarza.

Od tego czasu minęło sześć miesięcy.
Michalik tułał się wciąż wśród artystycznej
i rewolucyjnej kolonii polskiej, nie wiedząc
nigdy rano, czy będzie jadł w ciągu dnia
i gdzie będzie spał w nocy. Ta straszna nę-
dza nie rozgoryczyła go jednak — znosił ją
z taką samą bezmyślną rezygnacją, z jaką
w Warszawie nadstawiał głowę pod stryżek.

— A w krwawą środę był pan w Warsza-
wie?—dopytywał się szlachcie.

— Byłem.

Ogarnęło go nagle głucho rozdrażnienie
i z nienawiścią spojrział na Turowskiego.
„Mogłeś sam, draniu, wstąpić do bojówki, to

byłbyś wiedział“ — miał ochotę krzyknąć mu w twarz. Wstrętem przejmowały go te wszystkie wspomnienia, które szlachcie wciąż wywoływał swemi pytaniami. „Nawet w takiej chwili człowiekowi spokoju nie da“ — myślał z rosnącym rozgoryczeniem.

Na szczęście, orkiestra po chwilowej przerwie zaczęła grać hałaśliwego cake-walke'a. Gwar muzyki i pijackich krzyków głużył słowa tak, że nie można było weale rozmawiać. Michalik zapatrzył się na tańczące pary.

— Ładna dziewczyna! — wpadły mu w ucho słowa Steina, który wskazywał Tarowskiemu palcem na młodą, smukłą kobietę, siedzącą nieopodal od nich przy stoliku, w towarzystwie dwóch mężczyzn.

Spojrzał też tam machinalnie i zerwał się z krzesła.

— Mańka! — krzyknął na cały głos.

— Zna ją pan? — zadziwił się Tarowski.

Michalik nie ma nie odpowiedział. Stał, jak wryty, wpatrując się w strojną kobietę, jak gdyby chcąc zamagnetyzować ją oczami. Aż wreszcie odwróciła głowę. Zmarszczyła lekko brwi — zdawało się, że skupia myśli, szukając jakiegoś wspomnienia w pamięci. I nagle z wesołym uśmiechem skinęła Michalikowi głową.

Tarowski parsknął śmiechem.

— Widzicie go! Skromnego udaje, a zna

najpiękniejsze kobiety w Paryżu... To z pana taki numer... Myślałby kto, że do trzech zliczyć nie potrafi, a on sobie po cichu...

— Mańka, Mańka! — powtarzał Michalik, nie mogąc ochłonąć ze wzruszenia.

— To polka?

— Pewno, że polka, roześmiał się wesoło, tak mu się naiwnem wydało to pytanie.

— Znów się do pana uśmiecha — wtrącił Stein.

Michalik wykonał jakiś nieokreślony ruch ręką. Usta mu zadrgały. Potem zwrócił się nagle do Turowskiego.

— My się od takich bębnowi znamy — zaczął z radosnem ożywieniem, pochylając się i mierzając dłonią od podłogi wysokość. Jej rodzice mieli sklepik na Sosnowej ulicy, a myśmy obok w drugiej kamienicy mieszkali. Tam na dole był krawiec. Nazbieraliśmy raz z nią po całym domu karaluchów i, jak wieczór żydy usiadły do szabasu, zaczęliśmy im przez okno ciskać... Jej, co się za gwałt zrobił!

Umilkł, zapatrzył się gdzieś w przestrzeń rozmarzonymi, pełnemi zachwytu oczami.

Uśmiech zastygł mu na ustach.

— Niech się pan z nią przywita...

— Może zła będzie... z facetami siedzi.

Ale ona sama odwróciła się ku nim w tej chwili i skinęła na Michalika głową.

Podbiegł pośpiesznie.

— Jak się masz, Michalik!—krzyknęła rozpromieniona, wyciągając ku niemu obie ręce.— Wiesz, że ja cię najpierw weale poznać nie mogłam... Patrzę, co za typ... Dopiero jakieś się roześmiał, przypomniałam sobie odrazu... Przyjdź do mnie. Ja mieszkam *rue Blanche, 46, entresol...* Będziesz pamiętał? *Rue Blanche...* Co ty tu robisz w Paryżu?

— Ja na emigracyi jestem—odparł z odzieniem dumy w głosie.

Spojrzała zdziwiona.

— Do Brazylii jedziesz?

I nie czekając odpowiedzi, zmierzwiwszy błyskawicznym spojrzeniem Turowskiego, dorzuciła ciekawie:

— A ten, co z tobą siedzi?

— To jeden taki szlacheć... strasznie bogaty...

Wydęła pogardliwie usta.

— Tu, jak z okna wyjrzysz, to dziesięciu bogatszych zobaczysz... Już ja do Warszawy z powrotem nie przyjadę... niedoczekanie ich!... — wybuchnęła z nagłym błyskiem zawziętej nienawiści w oczach.

— No, odejź, bo nie mam czasu... Nie spodziewałeś się, że mnie tu zobaczysz, prawda?... *Rue Blanche, 46...*

Odwróciła się do swoich towarzyszków i z głośnym śmiechem, gestykulując gwałtownie, zaczęła im coś opowiadać po francusku.

Turowski i Stein czekali już na niego, gotowi do wyjścia. Michalik pił dużo i kręciło mu się w głowie; na ulicy chłodne, świeże powietrze rozebrało go do reszty, nie mógł iść prosto. Dniało już, szary, wilgotny świt wstawał ponad miastem. Czarne plamy okien wylaniały się z mroku, jakgdyby domy, budząc się, otwierały leniwie nawpół zamglone jeszcze ze snu oczy.

V.



kończyło się! — myślał Michalik. Jednego dnia wyjechał Tarowski, a nazajutrz po nim Stein. Malarzowi udało się „zrobić interes“ ze swoim mecenasem i wybrał się na całe lato nad morze do Bretanii. Michalik pomagał mu pakować rzeczy i wieczorem odwiózł go na dworzec. Wyściskali i wycelowali się serdecznie. Kiedy pociąg odszedł, bojowiec stał długo jeszcze na peronie, wpatrując się w ciemną przestrzeń, wśród której jakby zawieszona w powietrzu migotały kolorowe latarki sygnałów. Smutno i ciężko było mu na duszy. Oddał Steinowi garnitur, którego mu malarz pożyczył na czas pobytu Tarowskiego i miał z powrotem na sobie stare swoje ubranie, poplamione i tak już zdarte, że cudem tylko trzymało się na nim. W pracowni jeszcze, jak tylko to ubranie włożył, ogar-

nęło go ciężkie przygnębiające uczucie. Zapachniało mu nędzą...

I nie mógł się otrząsnąć z tego wrażenia, mimo że miał pieniądze. Szlachciec na odjeźdźnym dał mu pięćdziesiąt franków. Takiej sumy Michalik nigdy w Paryżu nie posiadał, ale teraz, po rozkosznych dwóch tygodniach, jakie spędził w towarzystwie Turowskiego i Steina, pieniądze te bardziej go rozgoryczyły, niż cieszyły. Starczy mi na tydzień, na dwa, a potem znów się zacznę,—myślał, przeczucując machinalnie ręką w kieszeni złote dwudziestofrankówki.

— Cholera! — plunął z obrzydzeniem.

Wyszedłszy na plac przed dworcem, przystanął i niezdecydowanie rozejrzał się dookoła. Po ulewnym deszczu, który spadł przed wieczorem, powietrze było przesycone ciepłą wilgocią. Latarnie paliły się mdło i ponad wszystkim unosiła się ciężka, niewypowiedziana nuda. „*L'Intransigeant—La Presse!*”—darł się w niebogłosy stary, siwy roznosiciel gazet w papierowym kasku z dzienników na głowie, przekrzykując turkot uliczny. Na drutach przewodników tramwajowych raz po raz zapalały się iskry i oświetlały plac niebieskimi błyskawicami.

Michalik skręcił w bok w szeroką, wysadzoną drzewami ulicę, i poszedł bezmyślnie przed siebie. Strasznie mu wciąż ciężko było

na duszy. Chwilami wiatr się zrywał i strząsał z drzew liście, przedwcześnie powiędłe od skwara i ulieznego kurzu. Zdawało się, że między skwarne dni zabłąkał się nagle jakiś smutny, jesienny wieczór.

Lżej odetchnął dopiero na „*Boul-Miche'u*“. Tam przynajmniej było jasno, ludno i gwaro. Pomimo, że wieczór był chłodny, przy stolikach przed kawiarniami siedziało mnóstwo ludzi, z poza wielkich, jasno oświetlonych okien, dolatywały dźwięki muzyki. Michalikowi raźniej zabiło serce. Wyprostował się, potrząsnął niecierpliwie głową, jak gdyby chcąc wypędzić z niej wszystkie smutne myśli i przyśpieszył kroku. Po drodze wstępował do kawiarni, szukając znajomych. Spotrzegł u Harecourta całe towarzystwo „es-er-ów“ rosyjskich, którzy grali przy dwóch stolikach w karty. Miał między nimi paru znajomych, podszedł.

— Nie widzieliście gdzie Pehlarza, albo Grążewskiego?

— Nie.

— Przed godziną byli u Paskala! — krzyknął mu przez stół wysoki blondyn o jasnych, jak len włosach, w czerwonej koszuli pod marynarką. — Pehlarz...

Reszty nie dosłyszał, bo orkiestra zagrała popularną bulwarową piosenkę, z różnych kątów sali zerwały się naraz głosy do wtóru

i słowa atonęły w gwarze. Zawrócił ku drzwiom i łokciami torował sobie drogę w zatłoczonym, ciasnym przejściu między dwoma rzędami stolików.

— Pódziesz, psiakrew! — zaklął ze złości, wrywając się jakiejś mulatee, która czepiła go się pod ramię.

Był już przy samem wyjściu, gdy ktoś zawołał za nim po nazwisku:

— Jak się macie, Michalik...

Odwrócił głowę. W zagłębieniu pod oknem siedzieli przy małym stoliku: Ostapenko, rusin, syn popa z pod Stanisławowa, i literat Ryszard Magenbaum, który pisywał artykuły i korespondeneyę do postępowych pism warszawskich pod pseudonimem Leszka Boruty.

— Siadajcie z nami...

— Ja idę do Paskala... — Chcę złapać Pehlarza i Grążewskiego.

— Myśmy tam właśnie byli. Już ich niema.

— Ale koniecznie, coście zaczęli — odezwał się Ostapenko.

— Dobrze. Opowiadałem właśnie Ostapence swój dramat — zwrócił się Magenbaum do Michalika. Posłuchajcie, to i wam się podobą.

I z ożywieniem ciągnął opowiadanie. Dramat miał być napisany poetyczną prozą w rodzaju Irydyona i przedstawiać dzieje młodej,

wiejskiej dziewczyny, wychowanej w ciasnych przesądach, która z miłości wychodzi za mąż. Po ślubie jednak pod wpływem książek, a zwłaszcza rozmów z kuzynem męża, poetą, w duszy jej następuje gwałtowny przełom. Jasno poczyna zdawać sobie sprawę z poniżenia, do jakiego doprowadza kobietę małżeństwo i rodzina, zatracając w niej godność ludzką. Na to, aby porzucić męża, do którego jest silnie przywiązana zmysłowo, niema dość mocy, męczy się, jest blizką samobójstwa. Ostatecznie jednak podnioslejsze instynkty zwyciężają. Ucieka z domu, rzuca się w wir prostytucji — i w tem nowem życiu dusza jej oczyszcza się i krystalizuje, jak dyament w ogniu...

Skończywszy opowiadanie, Magenbaum opuszczył skromnie oczy.

— Mocna rzecz — rzekł po chwilowem milezeniu Ostapenko.

— A wy co powiecie?

— Znakomite — odparł krótko Michalik.

Roztargniony, nie słuchał wcale opowiadania literata i nie wiedział, o co chodzi. Myślał o tem, gdzieby się przespać. Nie chciało mu się płacić za nocleg w hotelu, nie przez skąpstwo, ale ponieważ uważał to za głupi i niepotrzebny wydatek. Widząc wdzięczny uśmiech, z jakim Magenbaum podziękował mu skinieniem głowy za pochlebną opinię

o dramacie, błyskawicznie zorientował się w sytuacji i postanowił ją wykorzystać. Przysunął się do literata.

— Nie moglibyście mnie dziś przenocować?

— Owszem, ale będziecie spali na ziemi.

— Wszystko jedno.

— Gdzieście się podziewali, że was ostatnimi czasy nigdzie nie było widać? — zwrócił się nagle do niego Ostapenko.

— Ja... ja żyłem, jak arcyksiążę...

Obszernie, z najdrobniejszymi szczegółami począł im opowiadać, jak się bawił przez te dwa tygodnie. Ostapenko, słuchając go, uśmiechał się ironicznie. Magenbaum kiwał głową z miną paryskiego bywaleca, któremu przejadły się dawno wszystkie zakazane rozrywki stolicy. Michalika ożywiło to opowiadanie, ramienie wystąpiły mu na twarz. Gdy umilkł, literat skrzywił się z niesmakiem.

— Typowy szlachcic polski. Puścić w knajpach w Paryżu choćby kilkanaście tysięcy franków to potrafi, ale gdyby kto zażądał od niego setnej części tej sumy na cele kulturalne...

— Przecież daje Steinowi stypendyum — zaprzeczył żywo bojowiec, dotknięty tą uwagą.

Ostapenko parsknął cichym śmiechem.

— Łatwo was kupić Michaliku, łatwo...

— Niby dlaczego? — oburzył się bojowiec.

— Powtarzacie bezmyślnie: stypendyum, stypendyum... Łatwiej takiemu dać kilkaset franków rocznie, niż nam jedno sou... On się na te pieniądze nie napracuje. A wydatek na pewno mu się opłaci... Zaczną wrzeszczyć, jak i wy przed chwilą: Obywatel, arty- stom pomaga, daje na narodową sztukę! Wy- godna maska... Można za nią wszystkie łaj- dactwa robić...—Barżuazyjna filantropia... Nie, ne zdarysz aptekaria szajdwasserom — dodał po chwili, i błysk złośliwej radości prze- leciał mu po oczach.

— Jest jeszcze inny, ciekawszy rys w tem wszystkim — odezwał się Magenbaum. — Przypuśemy, Ostapenko, że taki daje nawet bezinteresownie. Dlaczego? Bo mu to spra- wia chwilową przyjemność, jakby dobre ha- wańskie cygaro zapalił... Rodzaj moralnego deseru po satym obiedzie.

— To prawda—żywo podchwycił rasin.— Wyzysk stał się już nieświadomym instynktem barżuazyi.

— Potrafią częściej świadomie nim kie- rować...

— Pewno... Wszysey dobroczyńcy ludz- kości... O! w zeszłym roku w lecie, pozna- łem tam u nas jednego takiego... Lekarz w osadzie fabrycznej... Deklamuje mi, jak on lud kocha, co dla robotników robi.. Szpi- tal, powiada, wybudowaliśmy przy fabryce...

I sto tysięcy będzie to za nim powtarzało... Ale przyjrzyjcie się całej sprawie głębiej... od serca... Robotnik nie może się zużyć przedwcześnie... inaczej fabrykantby tracił... Więc trzeba go od czasu do czasu podleczyć... I ot, macie dwóch dobroczyńców... z jednej strony czuwa żandarm, żeby nie strajkowali, z drugiej lekarz, żeby nie chorowali... Nie zdychaj odrazu tylko powoli, żebyś nie zdechł, pókiś mi potrzebny... Ale takiemu niczem ze łba nie wybije, że on naprawdę coś dla ludu robi...

Michalik zamilkł. Nie próbował już nawet bronić Turowskiego. Przykro mu było w głębi duszy słuchać napaści na wesołego szlachcica, bo się szczerze do niego przywiązał, ale zdawał sobie sprawę, że, biorąc rzecz na rozum, należało przyznać słuszność Ostapence. Rusin mówił, jak człowiek z przekonaniami, i Michalik czuł, że on powinien myśleć tak samo. Ale to mu humoru nie dodało. Zaczynały go już wogóle drażnić te przekonania, z którymi miał tylko wieczny kłopot, bo za każdym razem, gdy swobodniej po swojemu zaczynał czuć i myśleć, przytłaczały mu mózg, jak gdyby mu kto kamień na myślach położył. Magenbaum i Ostapenko irytowali go tem, że obaj byli tacy mądrzy, i dwa sprzeczne uczucia ścierały mu się w duszy. Słuchał tego, co mówili z uznaniem, ale raz

po raz budziła się w nim niepohamowana ochota, żeby im przerwać te wywody krótko, jednym, ordynarnem słowem, potem dać każdemu w pysk i odejść.

Ożywieni Magenbaum i Ostapenko zagadali się o polityce. Rusin opowiadał bardzo ciekawe rzeczy o skandalach, jakich się dopuszcza kler katolicki podczas wyborów w Galicyi. Michalik nie brał udziału w rozmowie i nie słuchał jej nawet. Odwrócił się do okna i wyglądał na bulwar z nadzieją, że a nuż w tłumie przechodniów, który kotłował się przed oknami kawiarni, dojrzy Pehlarza lub Grażewskiego. Włóczyli się zwykle wieczorami po *Boul-Miche'u*. Ostatecznie, paściwszy się na poszukiwania, mógłby był ich jeszcze z łatwością odnaleźć, ale był tego wieczoru jakiś przygnębiony i rozbity i nie chciało mu się ruszać z miejsca. Myślał o Mańce. Kiedy się spotkali w barze i kiedy zaprosiła go do siebie, miał garnitur Steina i wyglądał bardzo przyzwoicie. Ale w swoim podartem i zniszczonem ubraniu wyglądał inaczej. I wstyd mu było pokazywać się tak eleganczkiej kokocie, uniemożliwiało to prawie pójście do niej.— Jak mnie takiego obdartego zobaczy, to nawet gadać ze mną nie będzie chciała, tylko mnie z punktu za drzwi wyleje— myślał.— I gorzkie poczucie nędzy przejęło go bólem, który wnet potem przemienił się w głu-

chę nienawiść do całego świata. Wszyscy oni są świnię — zgrzytnęło mu coś w daszy. — Stein, Turowski, wszyscy...

I w jednej chwili z całego serca począł nienawidzić szlachcica.

— O czym tak zamyśliście się, Michalik?—przerwał mu Ostapenko.

— O tem, coście mówili przed chwilą. — odparł przyjaźnie, czując nagły przypływ sympaty do rusina. To jest prawda...

Ale nie skończył zdania, bo w tej chwili mignęła mu w oczach sylwetka Kotkiewicza, który szybko przesunął się koło kawiarni. Zerwał się z krzesła tak gwałtownie, że o mały stolika nie przewrócił, i krzyknąwszy tylko. „Ja tu zaraz wrócę, zapłacę“ wybiegł na bulwar. Kotkiewicz był już daleko i przeszedł na drugą stronę ulicy. Michalik pobiegł za nim, krzyząc na cały głos:

— Te, waryat, stój.... Dokąd tak lecisz?

VI.



Michalik nie mógł w żaden sposób zasnąć. Burza, na którą się zbierało około północy, poszła bokiem i powietrze było tak parne, że aż dusiło. Na niebie raz po raz migotały błyskawice, krótkie, urwane, jak gdyby światłonie miało już dość siły, aby się wydostać na zewnątrz z poza chmur.

Gdzieś daleko, poza Paryżem, słyhać było jeszcze czasami głucho, przeciągłe grzmoty, które wolno rozplływały się po powietrzu. x Michalik, spocony, jak mysz, przewracał się z boku na bok, zniecierpliwiło go to wreszcie, zapalił świecę i, zobaczywszy w kącie pokoju stolik, zarzucony książkami, wyskoczył z łóżka i począł je przerzucać, szukając czegoś do czytania. Książki, niestety, były przeważnie francuskie. Znalazł jednak między nimi

stary zeszyt „Chimery“ i wrócił z nim na posłanie.

Machinalnie przerzucił parę stronie, nie zresztą nie rozumiejąc z tego, co czytał, bo myślał wciąż o czem innym. Majaczyła mu się wizya Mańki tak wyraźnie, że czuł nieomal rozkoszne ciepło i świeży zapach jej ciała, jak gdyby stała tuż, tuż przy nim. Krew uderzyła mu do głowy i w rozgorączkowanej wyobraźni śliczna dziewczyna stawała się coraz śliczniejszą, mieniła mu się we wspomnieniu w jakieś anielskie zjawisko, opromienione aureolą światła. W te rozkoszne marzenia co chwila jednak ostro, jakby batem zaciął, wpadała myśl, że Mańka jest wielka pani, a on nędzarz, obdarty, głodny i cuchnący z brudu. Napróżno konwulsyjnymi wysiłkami woli starał się choć teraz zapomnieć o tem i odpędzić tę marę myśli—wracała coraz uporczywiej. Z furyą cisnął książkę na podłogę.

— Co ciebie opętało? — krzyknął z drugiego pokoju Kotkiewicz. Jak będziesz awantury po nocach wyprawiał, to cię na łeb stąd wyleję.

— Daszno, jak w piekle! — usprawiedliwiał się Michalik.

— Jak ci tu daszno, to idź pod most nad Sekwanę. Tam będziesz miał świeże powietrze...

— Hrabia, już go zbudzić nie można! —
odciął z przekąsem Michalik.

Ale zgasił świecę. Od dwóch dni mieszkał u Kotkiewicza, któremu jeden z jego znajomych, student Szkoły nauk politycznych, żonaty facet, wyjeżdżając na lato do kraju, zostawił swe mieszkanie. Mieli trzy pokoje. Tak wygodnie Michalik i w Warszawie nigdy nawet nie mieszkał, ale ta łaskawość losu spłynęła na niego trochę zapóźno, i bojowicie, któremu inne, nowe troski zamroczyły duszę, nie był już zdolny do tego, aby ją móżdż należycie ocenić. Myślał wciąż o Mańce i o swojej nędzy — i im bardziej myślał, tem jaskrawiej obraz tej nędzy rysował mu się w mózgu i gorzkniało mu serce nienawiścią do świata i pogardą dla siebie samego.

Grażewski i Pehlarz, z którymi się poprzedniego dnia widział, próbowali go namówić, żeby nie mieszkał u Kotkiewicza. Boczyli się obaj od dawnego przyjaciela i już wprost, nie półsłówkami, jak dawniej, zarzucali mu, że przystąpił do prowokacyi. Michalik nie zwrócił na ich przestrogi uwagi. O tych podejrzeniach mówił mu już pierwszy sam Kotkiewicz, tak swobodnie i prosto, że przekonał go najzupełniej. Ot, tamci zazdrościli mu najzwyczajniej w świecie tego, że mu się powiodło. Dostał od siostry trochę pieniędzy z kraju, potem dwa razy jeździł do Enghien

i raz wygrał w koniki osiemdziesiąt franków, drugi raz szesnaście. Michalik nie miał powodu Kotkiewiczowi nie wierzyć, powszechnie było wiadomo, że Kotkiewicz miał szczęście. Zresztą sam Grązewski i Pehlarz, choć na niego wygadywali, witali się z nim przy spotkaniu i rozmawiali. Tłómaczyli to tem, że nie mają jeszcze ostatecznych dowodów. Kotkiewicz miał wrogów, jak każdy, ale miał i przyjaciół, którzy go od podejrzeń bronili. Michalik więc bez wahania stanął po jego stronie. Zwłaszcza, że zobojętniał na te wszystkie sprawy i słuchał ich ot tak, jednym uchem, nie mogąc się już przejąć niemi prawdę.

— Michaliku! — wrzasnął przeraźliwie Kotkiewicz.

— Co się stało?

— Zapal-no świecę...

Wpadł do niego do pokoju, blady jak trup, usta miał sine zupełnie. Michalik zdjęty nagłą, zabobonna trwogą, począł rozglądać się ukradkiem po ciemnych kątach pokoju, powoli odwracając głowę, jak gdyby chcąc przygotować się zawczasu na jakiś straszny widok. Trwało to jednak moment tylko, od razu otrząsnął się z przykrego uczucia.

— Waryat jesteś! — odezwał się, wzruszając ramionami.

— Skręć-no mi papierosa.

Kotkiewicz próbował skrócić sam, ale ręce mu tak drżały, że całą szczyptę tytoniu rozsypał na podłogę. Zaciągnawszy się parę razy głęboko dymem, ochłonął.

— Znów ci się przywidziało?

Skinął potakująco głową.

Od pewnego czasu Kotkiewicza straszycie po nocach. Przychodził do niego jego brat, którego powiesili w Warszawie w cytadeli. Zaczęło się to dopiero na wiosnę w Paryżu, przedtem nigdy w życiu nie miał żadnych przywidzeń.

— To z gorąca — uspakajał go Michalik.

Machnął ręką, nie chciał mówić o tem wcale. Ale, oczywiście, spać odechciało mu się najzupełniej. Usiadł na krześle obok łóżka Michalika i odezwał się po chwili:

— Ale toś ty ostro musiał wstawiać przez te dwa tygodnie?

— Ba... — odparł Michalik.

Opowiadając Kotkiewiczowi o tem, jak się bawił, nie wspomniał jednak ani słowem o spotkaniu z Mańką. Sam nie wiedział, dlaczego, bo to przecież było najciekawsze. To zamilezanie niezwyklej przygody wydało mu się nagle śmiesznem i głupiem. Chcąc rozruszać Kotkiewicza i siebie, bo choć w duchy nie wierzył, bądź co bądź nieswojo mu trochę było, odezwał się po chwili:

— Wiesz, nie mówiłem ci... spotkałem tu jedną dziewczynę.

Kotkiewicz z zaciekawieniem słuchał opowiadania. Od czasu do czasu przerywał Michalikowi, dopytując się o jakieś szczegóły. Znać było, że go to zajęło niezmiernie. Wreszcie krzyknął z odcieniem szczerej pogardy w głosie:

— Też osieł z ciebie!

— Dlaczego?

— No, żeś jeszcze do niej nie poszedł...

Michalik wyznał mu, co go powstrzymywało od złożenia wizyty. Kotkiewicz wzruszył ramionami.

— Masz przecież pieniądze... spraw sobie garnitur i szoruj... Jak się będziesz umiał wziąć do rzeczy, to ci pieniędzy nie zabraknie... Gdzie ona mieszka?

— Ona... czekaj, na *rue*... — Wymyślił na poczekaniu fałszywy adres na Montmartre, prawdziwego nie chciał Kotkiewiczowi powiedzieć, obawiając się, aby go tamten nie ubiegł.

Kotkiewicz był sprytny i miał szczęście do kobiet. Opowiadanie Michalika najwidoczniej musiało zbudzić w nim jakieś utajone pragnienia, bo zamyślił się głęboko i po chwili, kiwając głową, odezwał się:

— Nie, Michalik, tyś za głupi na to, żeby żyć na świecie... Ja ci to mówię...

Michalik uśmiechnął się chytrze. O tem,

żeby poświęcić pieniądze, które miał na kupno ubrania, i wybrać się do Mańki, sam już od dwóch dni myślał. Ale zdejmował go zarazem jakiś nieokreślony lęk przed wydatkiem. Słowa Kotkiewicza zdecydowały [go od razu. Postanowił, nieodkładając, od samego rana pójść na miasto i kupić garnitur. Miał jeszcze czterdzieści franków, można się było wystroić. Ogarnęła go nagle szalona radość, jak gdyby mu najcięższa troska spadła z serca. — Nie taki ja jestem głupi, jak ci się здаje — śmiał się w duszy, patrząc na Kotkiewicza.

W pokoju robiło się już widno. Ktoś, człapiąc ciężko pantoflami po asfalcie przeszedł przez podwórze. Kotkiewicz przeciągnął się i ziewnął głośno. Ogarnęło go znużenie.

— No, ja idę spać.

Wrócił do swego pokoju.

Michalik wyciągnął się na łóżku i przymknął oczy. Zasnął także od razu. Zbudziło go gwałtowne dzwonicie do drzwi.

— Słyszysz, jak się dobija — mruknął Kotkiewicz.

— Aha... niema chyba, jak jaka dziewiąta.

Dzwonek zabrzączał znowu.

— Idź-no zobacz...

Zły, powoli podniósł się z łóżka i pobiegł

otworzyć. Okazało się, że wczesnym gościem był Kusy pepeesowiec, który w Paryżu wstąpił do rosyjskich maksymalistów. Ujrzawszy Michalika, zmierzył go żdziwionem spojrzeniem.

— To i wy tu mieszkacie?... Kotkiewicz jest? — dodał zaraz, nie czekając odpowiedzi.

— Jest.

Wszedłszy do pokoju, Kusy rozejrzał się bacznie po wszystkich kątach.

— Ładne mieszkanie. Co się z wami działo, że was nigdzie nie było widać?

— Halałem.

I znów zaczął opowiadać, jak się bawił z Tarowskim. Umiał już to opowiadanie na pamięć. Kusy jednak słuchał go bez przejęcia. Sam on był wegetarianinem i nie nie pił. Wązkie, zacięte usta wykrzywił mu szydreczy uśmiech. Gdy Michalik umilkł, odezwał się, cedząc powoli wyrazy:

— Wesoło... wesoło...

— Wiecie — dodał po chwili — za Grą-żewskim wciąż łapacze chodzą... Wczoraj jeden dwa razy pytał się o niego, konsierżka mu powtórzyła.

— Sam sobie winien! — krzyknął Kotkiewicz z łóżka.

— No, dlaczego?

— A, bo do francuskich anarchistów zaczął łązić... Na nich mają oko, więc go wyszpiclowali.

Michalika zaniepokoiła ta nowina.

— Mogą go nakryć.

— Wielka rzecz! — przerwał mu Kotkiewicz, który wstał z łóżka i owinąwszy się w kołdrę, wszedł do pokoju. — Choćby i nakryli... co mu zrobią? Najwyżej do granicy odstawią. Pojedzie do Brukselli, albo do Londynu... Chociaż — dodał, machnąwszy lekceważąco ręką — można jedną garą z Paryża wyjechać, a inną wrócić. Jak się na Montmartre przeprowadzi, albo na żydy pod Bastylię, to to samo, coby z Warszawy do Łodzi pojechał, nawet więcej.

— Pewno, pewno — potwierdził Kusy — i małe, jakby wiecznie zaspane oczy zajaśniały mu nagle przelotnym blaskiem.

W tej chwili znów ktoś zadzwonił do drzwi.

— A to się goście od samego rana złączą! — roześmiał się Michalik. Ubierał się pośpiesznie, żeby jaknajprędzej wyjść na miasto i kupić nowe ubranie. Zasznurowywał właśnie buty, stare lakiery Steina, które mu malarz podarował na wyjeździe, i nie mógł od razu pójść otworzyć. Ale Kusy zerwał się z krzesła.

— Ja otworzę! — zaofiarował się skwapliwie.

Wrócił po chwili, prowadząc za sobą Grązewskiego, i trzech „eserów“, których ani

Kotkiewicz, ani Michalik osobiście nie znali. Żdziwieni tem gromadnem najściem, wytrzeszczyli obaj oczy. Kasy podszedł do Kotkiewicza i, błyskawicznym ruchem wyciągnawszy z kieszeni rewolwer, przytknął mu go do piersi.

— Ręce do góry! — syknął jadowitym głosem.

Dwaj inni chwycili z oba stron Michalika. Roześmiał się wesoło, myśląc, że to kawał. Ale Grażewski w tej samej chwili, suchym, urzędowym tonem, naśladując mimowoli intonację żandarmów, oświadczył, że przyszli z rozkazu partyi, zrobić u Kotkiewicza rewizyę z powodu ciężących na nim podejrzeń. Kotkiewicz zaczerwienił się gwałtownie, potem zbladł, jak trup.

— Dobrze, róbcie — wyszeptał używając widocznie całego wysiłku woli, aby zapanaować nad sobą.

Przetrząsnęli im ubranie, przejrżeli wszystkie papiery, jakie leżały na stołach. Trwało to ze dwie godziny. Nikt przez cały ten czas ani słowa nie powiedział, wszyscy byli jakby zmieszani. Grażewski unikał wzroku Michalika. Na odchodnem dopiero Kasy zbliżył się do Kotkiewicza.

— Nie gniewajcie się, trudno...

Chciał mu podać rękę, ale Kotkiewicz odwrócił się tyłem i nie odpowiedział.

Michalik, żegnając się z Grażewskim, spojrzął na niego z wyrzutem:

— Czy wyście poszaleli?

Tamten odparł mu tak samo krótko:

— Trudno.

Ale zaraz dorzucił dawnym przyjacielskim tonem:

— Przyjdź wieczorem do „Pascala„ ... pogadamy.

Kiedy wyszli, Kotkiewicz siedział jeszcze przez kilka chwil nieruchomo, jakby zakamieniały. Michalik powoli kończył się ubierać. Jakieś niesłychanie ciężkie i przykre uczucie przytłoczyło mu duszę. Spoglądał ukradkiem na Kotkiewicza, nie śmiejąc przewać milezenia.

— Ja im, złodziejom pokażę! — odezwał się nagle Kotkiewicz cicho, ale tak strasznie, że Michalika aż dreszcz przeszedł — ja im, złodziejom pokażę!...

VII.



Phlarz wytłómaczył Michalikowi, że niema powodu ani przejmować się rewizją, ani oburzać na nią. Zrewidowano go, ponieważ tak się złożyło, że był właśnie u Kotkiewicza. Rewidowano zresztą, nietylko Kotkiewicza, ale i wielu innych na których padło podejrzenie, że utrzymują stosunki z policją rosyjską. Mówił logicznie, i Michalik musiał mu przyznać słuszność, ale pomimo wszystko, zostało mu na dnie duszy jakieś nieokreślone, przykre uczucie. Oczywiście, prowokatorów wszelkimi siłami należało wykryć, każdemu z nich sam bez wahania pierwszyby w łeb strzelił, rewizya jednak przejmowała go wstrętem. Rozumiał, że nie można było się bez niej obejść, tylko ani przez myśl nigdy mu nie przeszło, że może rewidować kto inny, prócz żandarmów. Spadło to więc na niego, jakby

nagle objawienie jakiejś nowej, smutnej prawdy o życiu, z którą powoli musiał się oswojać, oczekując, aż się ułoży między innymi uczuciami w sercu.

Wieczorem w kawiarni u „Pascala“ o niczem innym nie mówiono, tylko o rewizjach. Wszyscy byli podnieceni i rozgorączkowani. Z ust do ust krzyżowały się najrozmaitsze domysły, wymieniano coraz to inne nazwiska. Faktem było, że w organizacjach znajdowali się prowokatarzy i wzajemna nieufność ogarnęła nagle wszystkich, chorobliwie targając nerwy, wycieńczone nędzą i głodem. Michalikowi, który odrazu uległ wpływom otoczenia, konspiracyjny nastrój udzielił się w jednej chwili. Zapomniał o Mańce i o swoich planach. Sam, jak zwykle, mówił niewiele, ale z przejęciem przysłuchiwał się ożywionym sporom, i rosła w nim straszna, twarda nienawiść do tych szpiclów, którzy niewidzialni, jak śmierć, czaili się między nimi. Zdał sobie nagle sprawę z tego, o czem nigdy dotychczas nie myślał, że na całym świecie, w Europie i w Ameryce, niema ani jednego kąta, gdzieby choć dzień mógł przeżyć spokojnie. Wszędzie czuwali łapacze, jak gdyby cały świat był opleciony siecią z żywych kajdan.

Kotkiewicz ostentacyjnie przyszedł do kawiarni z kilkoma przyjaciółmi, którzy stali po jego stronie i rozglądał się po stolikach z taką

miną, że znać było, iż szuka tylko pierwszej zaczepki, żeby zrobić awanturę. Michalik, który siedział z Pehlarzem, Grążewskim i jeszcze z kilku znajomymi, wstał po chwili od stolika i podszedł ku niemu, aby się przywitać, a właściwie, aby okazać, że jest z nim po dawnemu dobrze.

Ale Kotkiewicz przyjął go bardzo niechętnie.

— Cóż ty tak — i ze mną, i z nimi? — odezwał się drwiąco.

Michalik, który powoli, pod wpływem uczuć, jakie budziła w nim rozmowa z towarzyszami, zaczynał już uważać te rewizyje za rzecz prostą i naturalną, próbował go ułagodzić.

— Przecie nie tylko u nas szukali...

Naumyślnie powiedział „u nas“, żeby osłabić wrażenie.

— Dranie oni są — przerwał mu gwałtownie Kotkiewicz. — Powiedz im to odemnie... A jak myślą, że to już koniec, to im się grubo zdaje... Już i ciebie na swoją stronę przeciagnęli — dodał po chwili, mierząc go pogardliwym spojrzeniem.

— Czyś ty oszalał?

— To wszystko Grążewskiego robota... On, odkąd do Paryża przyjechał, to, gdzie mógł, naszczekał na mnie... Mówił, że mnie w Warszawie widzieli, jak do „ochrany“ cho-

dzitem... On mnie może wypatrzył, — swoim zyzowatem okiem. A, choćbym i chodził... to co? niewolno mi mieć znajomego szpiela?

Umilkł wzburzony i począł kreślić kredą jakieś zygzaki na czerwonym saknie do gry w karty, które leżało przed nimi na stoliku.

— A ty, jeżeli chcesz dalej u mnie mieszkać, to wybieraj... albo ja, albo oni... inaczej na łeb cię wyleję.

Ostatnia pogróżka do żywego oburzyła Michalika. Miał pieniądze i mógł sam sobie wynająć mieszkanie, Kotkiewicz łaski mu nie robił. Poczzerwieniał. Nim jednak zdążył odpowiedzieć, Kotkiewicz dorzucił jeszcze.

— A i ty łziesz na każdym kroku. Tam, gdzieś mi mówił, ona wcale nie mieszka. Uspokój się—ciągnął drwiąco.—Nic z tego nie będzie, nie twojego rozumu na takie rzeczy potrzeba...

Michalik aż zbladł z wściekłości.

— Jużes tam poleciał... Zachciało ci się lekkiego chleba...

— Jazda!

— Pewno, że z takim, jak ty, nie będę się zadawał.

Drżąc z oburzenia, wrócił do swego stolika. Nie zauważono tam nawet, że rozmawiał z Kotkiewiczem. Wszysey byli czem in-

nem zajęci. Wysoki, szczupły blondyn opowiadał z ożywieniem:

— Mnie, to już w Warszawie na myśl przychodziło... Raz, pamiętam, wyszedłem wieczorem na Zielną i miałem taką awanturę z żołdatem... chciał mnie dźgnąć... musiałem go zastrzelić... Zbiegło się ludzi, ja sobie powolatka odszedłem. Przechodzę dalej na drugą stronę ulicy, patrzę — Kotek. Wita się ze mną... Co wyście, powiada, żołdata „zrobili„? Ja udaję głupiego, że niby ledwo co nadzedłem i nie nie wiem. A on mnie maca ręką po kieszeni.—Macie rewolwer?... Wziąłem, mówię, bo wylazłem na miasto, nie wiadomo, co może być... I jak mnie potem w parę miesięcy aresztowali, słuchał mię Wołczenkow i już przy samym końcu powiada:—A ot, powiedzcie mi jeszcze: wyście byli szóstego listopada o ósmej wieczór na Zielnej?—Może byłem—mówię—może nie byłem, ja nie zapisuję. Wy się lepiej odrazu przyznajcie, a to ja was w „sysknoje otdielenje“ pošę i tam was nauczą gadać. Tak mnie straszyl, jak to on zawsze.—Co ja się mam przyznać—mówię—kiedy nie pamiętam. Na Zielną chodziłem nieraz, tam dziewczyny mieszkały...

— E, nie — przerwał Kusy — to tak cię próbował tylko... a naż się zmieszasz. Kotkiewicz, jeśli wdał się ze szpiclami, to w Paryżu dopiero. Podobało mu się wesołe życie...

To — zasyczał z nagłym błyskiem nienawiści w oczach, wskazując chudym, drapieżnym palcem na kieliszki, które stały na stole — to gubi...

Sam on był człowiekiem fanatycznie surowych zasad. Śmiano się z niego, że potrafi za franka dwa tygodnie przeżyć i że największą rozkosz mu sprawiało, gdy się mógł porządnie wygłodzić. Ale miał mir wielki i lubili go wszyscy, ponieważ był niesłychanie uczynny. Gdy miał pieniądze, uważał za najświętszy swój obowiązek podzielić się z innymi. W Paryżu uczył się chemii, chcąc wymyśleć bombę, któraby pękała bez huku.

— Kotkiewicz jest łajdak! — krzyknął Michalik, przerywając chwilową ciszę, jaka zapanowała przy stoliku.

Grażewski spojrział na niego z uśmiechem.

— Nareszcie i ty się przekonałeś.

— Pokłóciliśmy się...

Na wążkach, prawie że bezbarwnych wargach Kusego, zarysował się szyderycy uśmiech. W głębi duszy lekcewał Michalika, zarzucając mu, że we wszystkim kieruje się osobistymi uczuciami, których on sam nie uznawał i nienawidził. Ale wiedząc, że Michalik od kilku dni mieszkał u Kotkiewicza i że przeto, pokłóciwszy się z nim, mógł się

znaleźć bez dachu nad głową, odrazu zwrócił się ku niemu:

— Jeżeli nie macie gdzie spać, to przyjdźcie do mnie.

VIII.



Michalik raz na zawsze się zarzekł nocowania u Kusiego. Kiedy powrócili do domu, a przyszli późno, Kusy się rozgadał, wpadł w zapał, i do samego rana nie pozwolił Michalikowi ani oka zmrużyć. Zmęczony bojowicie, zasypiał raz po raz na kanapie, wtedy Kusy targał go za ramię, szydził jadowicie z jego obojętności dla najważniejszych spraw, i mówił dalej. Z kim innym Michalik nie robiłby sobie ceremonii, tylko wprost nawymyślał, zawinął się w kołdrę i spał, ale Kusy go onieśmielał. Opowiadał mu swój projekt reorganizacji bojówki, wyciągnął z koszyka plik papierów i czytał ustawę własnego pomysłu, którą spisał na równych jednakowego kształtu kartkach. Ustawa dzieliła się na tyle rozdziałów, paragrafów i punktów, że Michalikowi przy-

chodziło na myśl, że nie tylko on, ale i naj-
mądrzejsi ludzie nieby z tego nie zrozumieli.
Kasy, którego jaskrawe przekonania rewolu-
cyjne zbliżały do anarchizmu, posiadał jedno-
cześnie niesłychanie formalistyczny biurokra-
tyczny umysł. W Warszawie bolało go naj-
bardziej, gdy bojowcy wykraczali po za granicę
swoich okręgów, i gdy naprzykład ktoś, kto
należał do organizacyi śródmieścia, wykony-
wał zamach na Woli, albo na Powiśla. Psało
to porządek rewolucyjnej roboty i ustawa je-
go miała takim wykroczeniom zapobiedz. Mi-
chalik słuchał jej i ustnych komentarzy Kase-
go, jak bajki o żelaznym wilku. Wiedział, x
że już sam nigdy do bojówki nie wróci, więc
i wewnętrzne jej urządzenie mało go obcho-
dziło. Wytrzeszczał szeroko oczy, żeby nie
zasnąć i wydawał czasami nieokreślony dźwięk,
który miał świadczyć o jego podziwie i uzna-
niu dla pomysłów Kasego. Kasy mówił ci-
chym, jednostajnym głosem, przerywał co
chwila, gdyż pilnie przestrzegał, aby zachowy-
wać znaki pisarskie, i Michalikowi słowa jego
zlewały się w uszach w przeciągłe, monoton-
ne brzęczenie, jak gdyby roju much.

Obudził się po tej nocy ze zdwojonem
poczuciem uznania dla amysłowości Kasego,
ale postanowił już nie korzystać z jego go-
ścinności.

Rewizye i podniecenie, jakie po nich ogar-

nęło wszystkich, wytrąciły go najzupełniej z przelotnej równowagi ducha, którą, zdawało się, odzyskał po rozmowie z Kotkiewiczem. Tułał się znów zniechęcony i rozbity po Paryżu, wybierał się wciąż do Mańki, zachodził parę razy na *rue Blanche* i w ostatniej chwili zawracał z przed bramy, odkładając wizytę do następnego dnia. Przez oszczędność głodził się, jadał co drugi dzień, bojąc się, żeby mu się pieniądze za wcześnie nie rozeszły. Chował je na kupno nowego ubrania, w którym miał się pokazać Mańce. Ale na to, żeby je kupić wreszcie, nie mógł się odważyć. Zachęta Kotkiewicza, która go wtedy w nocy w jednej chwili zdecydowała, nie miała już dla niego, odkąd się z kolegą pokłócił, najmniejszego znaczenia i znów był bezradny. Przytem był zmęczony, zdenerwowany i zdejmowała go czasami chorobliwa trwoga przed tem, co będzie dalej. Paryż opustoszał, wszyscy polacy studenci i malarze, którzy mieli jakie takie pieniądze i mogli mu czasami pomóc, porozjeżdżali się, jedni do kraju, inni nad morze i z olbrzymich, rozpalonych, gwaranych, jak piekło, ulic, biła niewypowiedziana, bezlitosna groza. Przechodząc raz w samo południe przez most na Sekwannie, widział, jak ogromny wóz automobilowy zmiażdżył człowieka. Dreszczem przejęło go wtedy wrażenie jakiejś ślepej, fatalistycznej mocy, któ-

rej nie nie było w stanie się oprzeć. Trupa zaraz sprzątnięto, wóz pojechał dalej, i ludzie zdeptali ślady krwi na bruku. To straszne wrażenie przeniósł na całe miasto. Coś czarnego kotłowało się w słońcu — tak mu się przedstawiał w rozgorączkowanej wyobraźni Paryż i zdawało mu się, że na każdym zakręcie ulicy czyha na niego tajemnicza, niewidzialna śmierć, żeby go zmiażdżyć i zetrzeć bez śladu. Konwulsyjnie zaciskał wtedy w kieszeni pieniądze, aż mu się w ciało wpijały i głodził się całymi dniami, byle nie wydać.

I przytem wciąż marzył. Marzył, że zaczną żyć z Mańką, która musiała mieć trochę uzbieranych pieniędzy, i że się stanie coś takiego, że będzie mógł spokojnie wrócić do Warszawy. Z nią, ma się rozumieć. Gdy się zamyślił o tem, chodził po ulicach jak senny, potrącając przechodniów, którzy mu nieraz wymyślali. Uśmiechał się: „Drzyj gębę, drania, ja i tak nie rozumiem“. I włókł się dalej snując te swoje cadowne marzenia, które napełniały mu duszę taką świeżością, jaka przez chwilę zostaje czasami w powietrzu po pierwszych deszczach wiosennych. „Mańka—powtarzał, jak my się z nią zejdziem to wszystko będzie inaczej“... I aż go podziw zdejmował: „Ktoby to pomyślał, takie szezzenie, co się tam pod nogami po podwórzu plątało — i wyrosła na paryską grandę“.

Mieszkał od paru dni z jednym żydem z „Bundu“, Herszkiem. Mieli maleńki pokoik pod samym dachem, tak, że schody kończyły się niżej i do nich trzeba już było wchodzić po drabinie. Za to mieszkanie na całe lato zapłacił mu osiem franków. Żeby odbić ten wydatek, przestał zupełnie prawie wychodzić z domu. Gdy leżał na łóżku, mniej mu się jeść chciało. Pokój przez cały dzień był wolny, bo żyd chodził na robotę do jednego czapnika w Temple i nie wracał, aż wieczorem. A ponieważ Michalik o zmierzchu zwykle wychodził z domu, więc widywali się tylko na krótko rankami. Herszek, który czytywał u swojego „patrona“ gazety, opowiadał mu, co się na świecie dzieje i wymyślał na Clemenceau.

Ale bojowca polityka nie a nie nie zajmowała. Czuł nawet wstręt do niej. Najlepiej lubiał rozmawiać o Warszawie i czasem, gdy wcześniej wrócił do domu, a Herszek nie spał jeszcze, zaraz wdawał się z nim w rozmowę.

— To wyście na Pańskiej mieszkali?

— Mówiłem wam już.

— Czekaście, czekaście—ożywiał się Michalik. Jeżeliście mieszkali pod dwunastym, to tam jest z frontu taki mały dom, a dopiero w podwórzu trzypiętrowe oficyny. Prawda? Herszka niecierpliwił ten temat, który się

wiecznie i uporeczywie powtarzał. Zbywał Michalika krótko:

— Co wam z tego przyjdzie, że one tam stoją. Czy to wasze?...

I próbował nawiązać ciekawszą rozmowę.

— W „*Guerre Sociale*“ był znakomity artykuł o ostatniej „grewie terrasierów“. Szkoda, Michalik, że wy nie czytacie po francusku.

Ale bojowiec, jakby nie zważając na to zupełnie, ciągnął:

— Pamiętacie, Herszek, tam na Pańskiej, niedaleko od was, była także taka mała cukiernia, a potem sklep z żelazem. A i u was to, zdaje się, w drugim podwórzu dryndziarze mieszkali, prawda... Co wy śpicie?—dopytywał się, widząc, iż Herszek odwraca się twarzą do ściany.

— Ja wolę spać, jak z wami gadać. Wy napiszcie przewodnik po Warszawie, może wam kto zapłaci.

— Jojne parchate—myślał Michalik i odwracał się także twarzą do ściany. Ale zazwyczaj nie mógł zasnąć długo, gdyż wysypiał się we dnie. Myślał więc znów o Mańce.

— Jutro już trzeba będzie pójść do niej... Z pieniędzy, które mu dał Tarowski, zostało mu jeszcze dwadzieścia franków i postanawiał przeznaczyć je w całości na to, aby się oporządzić. Za sześć franków można już dostać dobre spodnie — widział na wystawie.

Jak sobie — myślał, kupię nowe spodnie i rękawiczki i czysty kołnierzyk włożę, to i w tej marynarce doskonale jeszcze ujdzie. Najważniejsze, żeby na nogach było porządnie.

Oczywiście, na drugi dzień nie szedł. Znowu odkładał. Powstrzymywał go nieokreślony lęk od tego pójścia, raczej obawa przed rozezarowaniem, której jednak nie uświadamiał sobie. Z kolegami w ostatnich dniach, właściwie odkąd zamieszkał u Herszka, nie widywał się prawie wcale. Grażewski był chory: miał dwa krwotoki, jeden po drugim, które go tak osłabiły, że nie mógł wcale wychodzić z domu. „Do września nie pociągnie“, utrzymywał Pehlarz, który opowiedział mu o tem. Michalik wciąż się wybierał, żeby Grażewskiego odwiedzić, i także to z dnia na dzień odkładał. Wymyślał sobie w duszy, że postępuje, jak świnia, ale takie go dziwne ogarnęło osłabienie, że czuł lęk na samą myśl przejścia paru ulic. Od Pehlarza dowiedział się także, że Kotkiewicz żyje, jak pan, i puszcza pieniądze na prawo i na lewo. Sam spotkał go kiedyś wieczorem na placu koło Sorbony, ale, oczywiście, przeszli koło siebie, nie witając się wcale, jak gdyby się nigdy nie znali. Do Kotkiewicza zachował był nienawiść w sercu. To go do niego zniechęciło głównie, że tak odrazu Mańki szukać poleciał. I to bezpośrednio po tem, jak rewizycę

a niego robili. Wściekał się, całemu światu odgrażał, a na to swoją drogą czas znalazł... To najlepszy dowód, że Łajdak—myślał Michalik. Ale imponowała mu też po części ta bezczelność Kotkiewicza.

Ostatecznie najlepiej ze wszystkiego lubiał siedzieć w domu. Na dole w kamienicy wszystkiego można było dostać. Kupował chleb, jarzyny, czasem trochę mięsa i sam sobie przyrządzał śniadanie na małej, spirytusowej maszynie Herszka. Za spirytus ma się rozumieć płacili do spółki. Przyczaił się na tym strychu i rad był, że mu nie spokoju nie zakłócało. Czasem tylko w nocy, kiedy się już wszystko uciszyło na mieście, dolatywały przez otwarte okna dalekie, przeciągłe świsty lokomotyw. Aż go skręcało z bóla... Zapełnie tak samo gwizdały maszyny na Wiedeńskiej kolei, dawno, dawno... kiedy jeszcze mieszkał na Sosnowej.

— Herszek, słyszycie, jak to gwizdże... Pojechalibyście, co?

— Z was taki sentymentalnik, że aż wstyd... Śpijcie — odpowiadał Herszek zniecierpliwionym głosem.

IX.



Raz Herszek wrócił do domu niespodziewanie po południu. Michalik spał. Herszek obudził go i odezwał się z zafra-
sowaną miną:

- Czy wy macie „*carte d'etranger*“?
— Nie.

Michalik nigdy wogóle nie posiadał żadnych dowodów legitymacyjnych.

— Konsierżka zrobiła mi o was awanturę. Łapacz był i strasznie się przepytywał, co wyście za jeden. Kazał, żebyście przyszli do komisarza. Wpadła na mnie... Tu jest, powiada, „*maison tranquille*“ i nigdy żadnych anarchistów nie było. Ja jej mówiłem, że wyście spokojny człowiek, ale ona pijana, nie chce słuchać.

— Cholera — zaklął przez zęby Michalik.

Powoli podniósł się z łóżka, poprawił ubranie, przyczesał włosy przed kawałkiem

słuczonego lusterka, które wisiało na ścianie, potem zebrał swe rzeczy: parę pomiętych kołnierzyków, koszulę, paczkę listów, różne niepotrzebne drobiazgi, magazyn od brownin-ga, który zawsze nosił przy sobie, choć nie miał rewolwera, zdjął ze ściany kartę pocztową z fotografią Okrzei, zawinął to wszystko w starą gazetę i po chwili, gotów do wyjścia, zwrócił się do kolegi:

— Słuchajcie, Herszek, ale wy mi oddacie trochę z tych pieniędzy, co wam zapłaciłem?

— Ja wam oddam siedem franków. Frank będzie za to, coście przemieszkali. Krzywda się wam nie stanie.

— Nie, skądże...?

— Przez jakiś czas wy się tu po *quar-tier* nie kręćcie. Mają na was oko. Mogliby was wylać, albo i wydać. Znów ekstradycje były... Trzymają się za ręce...

— Człowiek, jak ten pies przed hyclem musi uciekać—westchnął Michalik.

Zbadziło się w nim nagle wspomnienie szarych, dżdżystych poranków warszawskich, kiedy razem z innymi dzieciakami, gwizdząc przeraźliwie na palcach, rozpędzał psy przed hycelowskim wózkiem. Ostry, przenikliwy ból przeszył mu duszę.

— Podle jest na świecie!...

— Będzie lepiej—odparł Herszek.

— Na stryczku.

— Wybyście zaraz usiedli w kącie i zaczęli płakać. Trzeba wierzyć... Wielka rzecz, że i was i mnie i dziesięć tysięcy innych dyabli wezmą... Bez tego nie można... bez cierpienia niema nic na świecie—gorączkował się, i wielkie czarne oczy zabłysnęły mu fanatycznym ogniem. Sam całą siłą swej biednej, chorej, sponiewieranej duszy wierzył w ostateczne zwycięstwo idei.

Michalik pokiwał w milezeniu głową. Wypalił jeszcze jednego papierosa i, wyciągnąwszy rękę do Herszka, odezwał się zmęczonym głosem, tłumiąc nerwowe ziewanie:

— No, to ja idę.

— Bądźcie zdrowi, Michalik, niech się wam wszystko dobrze powodzi.

Szybko zbiegł po schodach. Przed bramą rozejrzał się po ulicy, czy nie dostrzeże gdzie wśród przechodniów jakiej podejrzaney postaci. Wprawne miał już na to oko i wśród najgęstszego tłumu umiał odrazu łapacza wypatrzeć. Tak samo zresztą łatwo ich było poznawać w Paryżu, jak i w Warszawie. Potem wskoczył do przejeżdżającego omnibusu. Nie spojrział nawet na napis, było mu wszystko jedno, dokąd zajędzie, pragnął tylko jak najprędzej wydostać się z tej zakazanej dzielnicy. Ogarnął go nagle chorobliwy lęk. Zda-

wało mu się, że już, już gonią za nim i lada chwila mają go złapać.

Omnibus włókł się powoli, przejechał przez most na Sekwannie, zapuścił się w labirynt ciasnych, brudnych uliczek koło Hall. Michalik znał dobrze te strony, bo nieraz zachodził tu, gdy, nie mając gdzie spać, całymi nocami błąkał się po Paryżu. Nad ranem pachniało rozkosznie świeżymi jarzynami. I w wesołych czasach z Turowskim przyjeżdżali tu parę razy do Barata. Przypomniła mu się dziwna melodia, którą siwy staruszek w żółtej marynarce grał w knajpie na gitarze.

— Psiakrew... psiakrew! — cedził przez zęby od czasu do czasu.

Na Wielkich Bulwarach wyskoczył i piechotą poszedł ku *rue Blanche*. Aby tylko z Mańką się zobaczyć, to już się wszystko jakoś ułoży. Głupio mu było trochę przychodzić do niej ze swem zawiniątkiem i miał ochotę cisnąć je gdzie na ulicy, ale potem machnął ręką. Wszystko jedno, od dzieciaków się znają, to Mańka nie zwróci na to uwagi. Przeprosi ją, że brudny i obdarty, wytłomaczy co i jak, i wszystko będzie dobrze. Przyśpieszał wciąż kroku i takie ogarnęło go zniecierpliwienie, że aż czuł jakieś łaskotanie w piersiach. Wciąż mu się wyda-

wało, że Bóg wie jaki kawał drogi ma jeszcze przed sobą.

Rue Blanche. Doszedł. Przed kamienicą zatrzymał się na chwilę i aż mu ze wzruszenia pociemniało w oczach.—Ee, głupi jestem... przecież my się z Mańką od dziecka znamy.— Wydała mu się nagle dobrym, opiekuńczym aniołem, pod którego jasnymi skrzydłami mógł się przyzaić i schować przed nędzą i łapaczami, co, jak złe psy, gonili za nim po mieście. Szybko wszedł w bramę. Nieśmiało uchylił oszklonych drzwi. Odźwierna zmierzyla go od stóp do głów pogardliwym, zdziwionem spojrzeniem. Zagadała coś po francusku.

...est partie...

Wytrzeszczył oczy.

— Niby, co, gdzie?

Krzyknęła coś ostro i zatrzaskała mu drzwi przed nosem. Wyszedł z powrotem na ulicę i po chwili dopiero zdał sobie jasno sprawę: „Aha, wyjechała, pewno... gdzieby taka granda siedziała w Paryżu przez lato... Karyery teraz nie robi, na co jej kurz łykać“.

Zawrzała w nim głucha nienawiść do siebie samego za te marzenia bezsensowne, głupie, którymi się upijał, jak wódką. Zagryzł do krwi usta. Dareń, dareń! — świstało mu w mózgu. I znów szedł przed siebie gdzieś,

jak lanatyk, wpatrując się bezmyślnie w długą perspektywę ulicy, pełnej złotego karzu. Do rzeki i w wodę. Ale wiedział, że i na to nie starczy mu siły. Takim się czuł bezradnym, nędznym, osamotnionym, że już nawet nie mógł mieć współczucia dla swej niedoli. Tylko wstręt i gorzką pogardę. Od czasu do czasu podnosił oczy, i pierwszy lepszy przechodzień, którego napotykał wzrokiem, budził w nim nieokreślony aż z lękiem graniczący podziw—że ten człowiek ma gdzie spać, mieszkać, że przyjdzie wieczorem do domu i nikt nie będzie czyhał na niego, jak na wściekłego psa. Spozrzegł nagle, że jest na Montmartre przed bramą kamienicy, w której Stein miał pracownię. Stein się tam teraz w morzu kąpie, pływa sobie, jak szczupak — pomyślał i uśmiechnął się z rozrzewnieniem. Wszedł na podwórze. Konsierżka, zobaczywszy go, wybiegła zaraz za nim ze swej izby.

— Idę, idę! — mruknął, wtalając głowę w ramiona.

Doznał wrażenia, że już mu nie wolno przestąpić przez próg żadnej bramy. I wydało mu się to prostem i naturalnem. Ma się rozumieć, gdzieżby...

Szedł, szedł, aż mu chwilami tchu brakło ze zmęczenia. Nagle drgnął. Na werandzie wielkiej kawiarni, po drugiej stronie ulicy siedział przy stoliku Kotkiewicz. Siedział z ja-

kimś elegancko ubranym panem, z czarną bródką, w złotych binoklach. Rozmawiali o czemś, półgłosem widocznie, gdyż pochylili się ku sobie tak, że się prawie dotykali głowami.

Michalik przystanął zdziwiony.

Kotkiewicz w tej samej chwili odwrócił głowę. Spostrzegłszy Michalika, gwałtownie pochylił się ku ziemi, jak gdyby chcąc ukryć się przed jego spojrzeniem.

Michalik nie czuł już w duszy najmniejszego żalu do Kotkiewicza. Ucieszył się, że go zobaczył. I jak gdyby nie pamiętając o tem, że byli przecież pokłóceni, przeszedł na drugą stronę ulicy i, przystanąwszy przed kawiarnią, skinął na niego głową.

Kotkiewicz wybiegł blady i zmieszany.

— Czego ty chcesz odemnie?

Ale spojrzawszy na Michalika zblizka, odrazu zmienił ton.

— Co tobie jest?

— Mnie nic — próbował uśmiechnąć się Michalik.

— Ehe! — zagwizdał przeciągle Kotkiewicz.—Nędza cię zjadła... Przyłazłeś, bracie, x na moje podwórko—roześmiał się, klepiąc go po ramieniu. Grażewskiego dyabli już wzięli?

Michalik nic nie odpowiedział, spojrzał tylko żałośnie na kolegę.

I ten bezmierny ból, jaki miał w oczach,

musiał odrazu Kotkiewiczowi jakąś myśl nasunąć. Zmarszczył brwi, potem chytrze się uśmiechnął.

— Na, masz!—rzekł, wyciągając klucz od mieszkania z kieszeni. Idź do mnie i poczekaj, dopóki ja do domu nie wrócę... Pogadamy... Będziesz mi potrzebny.

X.



Najgorzej od dzieciństwa Michalik bał się węzów. Wyobrażał je sobie zawsze, jako coś najstraszniejszego w świecie. Ale dopiero po przyjeździe do Paryża, w Ogrodzie zoologicznym zobaczył je pierwszy raz w życiu. Leżały nieruchomo za zapoconemi szybami w niewielkim budynku, w którym było duszno i gorąco, jak w łaźni. Jeden wysawał raz po raz z pyska rozszczępione żądło i wytrzeszczał na Michalika nieruchome ślepią. I to martwe spojrzenie gada tak go ciągnęło, że wprost nie mógł oczu od szyby oderwać. I choć wiedział, że mu wąż nie zrobić nie może, czuł nieokreślony lęk, a zarazem dziwną chęć, żeby jeszcze bliżej się przysunąć.

Pehlarz wytłómaczył mu, że to jest hypnotyzm.

Takiego samego uczucia doznawał Michalik, rozmawiając z Kotkiewiczem w nocy. Kotkiewicz wpatrywał się w niego błyszczącymi oczami, i Michalik czuł, że pod siłą tego spojrzenia wszystkie jego własne myśli ulatują mu z głowy. Zostawała czarna pustka, a w niej jedna jedyna myśl, i Michalik sam już nie wiedział, czy straszna, czy najzwyczajniejsza w świecie. Kotkiewicz chodził po pokoju, kłął raz po raz, jak zwykle, i gadał głośno. Michalik słuchał go z uwagą, ale ze zdziwieniem spostrzegał co chwila, że właściwie nie wie, o czym Kotkiewiczowi mówi. Tamten czasami dopytywał go się po chwilowem milczeniu:

— Powiedz, czy nie mam racyi?

— Masz—odpowiadał cicho Michalik.

I gdy Kotkiewicz mówił, że wszyscy są złodzieje, powtarzał, jak echo: „wszysej są złodzieje“. Miał wrażenie, że wszystkie jego myśli przeszły do głowy Kotkiewicza, a jemu została tylko ta jedna martwa, nieruchoma, jak ślepie węża. Gdy go zmęczyło patrzeć w płomień świecy, odwracał głowę, i wtedy z ciemnych kątów sufitu leciały ku niemu czerwone i zielone płatki, spadały w dół z niesłychaną szybkością i gasły przed samymi oczami. Kotkiewicz wytrząsnął z portmonetki na stół pięć złotych dwadziestofrankówek,

i pieniądze z cichym brzękiem potoczyły się między książki.

— He! he! jak dzwoni! — roześmiał się Michalik.

Znów jakieś urwane zdanie Kotkiewicza wyraźniej wbijało mu się w mózg.

— Na mnie mają podejrzenie, ale tobie każdy uwierzy.

— Mnie każdy uwierzy — powtarzał machinalnie.

Potem nagle, w jednej chwili zrozumiał wszystko. Cicha, smutna rezygnacya opadła mu na duszę. Przyszło i na niego. Wyraźnie zarysowała się przed nim przyszłość i patrzył w nią obojętnie, bez żadnych uczuć, jak gdyby wiedząc, że wszystko, co się stanie, będzie wynikiem ślepej, fatalistycznej siły, wobec której z jego głupim rozumem nie poradzi...

Kotkiewicz miał w domu cały skład broni. Osiem sztuk rewolwerów, najlepszych systemów. Same browningi i parabellam. Michalik schował odrazu jeden rewolwer w kieszeń. Zasunął w rączkę swój stary, warszawski magazyn. Ucieszyło go, że miał broń znowu.

— Dostaniesz papiery, zameldujesz się w policyi, żeś niby to teraz przyjechał i już cię szpicle francuskie nie tkną.

— Teraz ja pan! — śmiał się bezmyślnie.

— Widzisz, zdechłbyś, jak szecur w rynsztoku. No, idź spać.

Zasnął tak mocno, że na drugi dzień Kotkiewicz nie mógł go się dobrać.

* * *

Dzień, dwa, trzy, i uspokoił się powoli, jak gdyby w poszarpanej duszy wszystko na nowo poczynało się zrastać. Nie on jeden, i Kotkiewicz i dziesiątki innych. Przytem nie było to weale takie straszne. Miał „informować zagraniczną agenturę“, jak się wyraził ów pan w złotych binoklach, który siedział z Kotkiewiczem na werandzie kawiarni i z którym go Kotkiewicz zaraz na drugi dzień zapoznał. Informować zagraniczną agenturę— to nie byle co. Płynęła z tych słów jakaś urzędowa powaga, i gdy je Michalik powtarzał w myśli, budziło się w nim nieokreślone poczucie łączności z najwyższymi urzędnikami w państwie. Przyobiecano mu też, że i do Warszawy będzie mógł powrócić.

— Hei hei!.. uśmiechał się cicho do myśli, która, jak światło, zapalała mu się w mózgu. W Warszawie ja na swoich śmieciach... Jak przyjadę, to się tak odrazu w jakąś dziurę zaszyję, że mnie dyabeł nie odnajdzie... Już po żadnej stronie nie będę wojował. Nie

głupim. Gryzą się tylko, jak psy—między sobą, i co komu z tego.

Szedł powoli bulwarem, wracając od Grążewskiego. Grążewski już kończył. Masi być w nocy umrze — myślał Michalik i potrząsał niecierpliwie głową, jakby chcąc wyrzucić z niej obrzydliwe wspomnienie, które wciąż uporczywie wracało. Od Grążewskiego uchnęło już trudem, nie mógł mówić, tylko jakieś niewyraźne rżęczenie wydobywało mu się z gardła. Siedzieli u niego: Pehlarz, Kusy, Herszek i paru innych. Zdjęty nagłą zabobonną trwogą, Michalik dał mu trzydzieści franków, wszystkie pieniądze, jakie miał przy sobie. Powiedział, że Turowski jest znów w Paryżu i że od niego dostał. Potem—tem samem się wymówił, że Turowski czeka na niego, i uciekł, bo nie mógł na Grążewskiego patrzeć. Zdało mu się, kiedy zmierzch padł na pokój, że we wszystkich kątach coś rusza się i szepeze.

Przypomniał mu się nagle jego pierwszy wieczór w Paryżu. Zaczął liczyć w głowie. Równe sześć i pół miesiąca. I co to się przez ten czas zmieniło. Grążewski umiera, ja szpiclaję—myślał z nieokreślonym podziwem, takim samym, z jakim czasami przypominał sobie rano, co mu się śniło w nocy. Nagle drgnął. Wydało mu się, że ktoś krzyknął za nim po cichu: „szpicel“. Nie oglądając się,

przyśpieszył kroku — począł uciekać. I znów to samo. Jak gdyby ktoś wołał bardzo dalego, tak, że głos ledwo dolatywał.

— Nerwy, psiakrew — mruknął. I zdjęło go głuche oburzenie, jak gdyby spostrzegł nagle, że go oszakano podstępnie. Jakto, i teraz jeszcze?

Na mieście było już zupełnie ciemno. Wzdłuż ulic migotały nieskończenie długie szeregi świateł, zdawało się, że poopasywano na noc domy łańcuchami. Te łańcuchy wiły się, plątały wszędzie, gdzie spojrzął, zamykały mu drogę. Pędził na oślep przed siebie, gnany coraz dzikszą trwogą.

Bez tchu upadł wreszcie na ławkę. Siedział kilka chwil nieruchomo z przymkniętymi oczami. Potem rozejrzał się zdziwiony. Gdzie to znalazłem... Był na polach Elizejskich. Środkiem ulicy z głuchem rżeniem przelatywały automobile, podobne do olbrzymich gadów, z błyszczącymi ślepiami.

Zdjął kapelusz, otarł pot z czoła. Wypoczął.

— A to mnie wzięło, a to mnie wzięło — powtarzał półgłosem, oddychając ciężko.

Potem powoli podniósł się z ławki. Przygładził ręką włosy, poprawił na sobie ubranie i równym, szybkim krokiem zawrócił do miasta. Kiedy przechodził przez most na Sekwannie, zobaczył na wielkiej, żółto oświetlonej

tarczy zegara na dworcu kolejowym godzinę. Było wpół do dziesiątej. Ee, to Grażewski będzie żył jeszcze — przemknęło mu przez myśl i ucieszył się.

— Nie, nie, nie—mruczał czasami, wykonując ręką ruch, jakby odpędzał coś od siebie. Znow się zmęczył i spocił. Przed samymi drzwiami Grażewskiego tchu mu zabrakło. Szarpnął gwałtownie za dzwonek i to go orzeźwiło.

Pehlarz mu otworzył.

— Cóż ty, psiakrew, dzwonisz, jakby się paliło. Nie wiesz, że chory leży.

Nie mu nie odpowiedział, wszedł do pokoja. Przy Grażewskim siedzieli już tylko Pehlarz i Kasy, inni się porozehodzili. W pokoju unosił się ostry swąd z lampy. Grażewski leżał na swoim pościu cicho z przymkniętymi oczyma. Zdawało się, że już nie żyje. Na brudnej poduszce czerwieniły się wypłowiałe plamy krwi. Kasy, pochylony nad stołem koło lampy, kreślił ołówkiem na świstku papieru jakieś formuły chemiczne.

Michalik westchnął głęboko, jakby dla nabrania tchu. I nagle zwrócił się do Pehlarza:

— Słuchaj, oddaj pieniądze.

— Jakie?

— Te, co wam dałem.

Kasy podniósł głowę od stołu.

— Żal wam się zrobiło... Moglibyście tak

nie wrzeszeżeć, chory leży,—dorzucił rozkazującym, pogardliwym tonem.

— Jak ma zdychać, to niech bez moich pieniędzy zdycha!.. on...

Głos mu się załamał.

— Won!—zasyczał Kusy.

Michalik rzucił się nagle na niego. Zdusił go ręką za gardło i bijąc kolbą od browninga po głowie, ryczał dzikim, nieładzkim głosem:

— Ty, złodzieju! ty, złodzieju!.. Ty go chcesz pochować za szpicłowskie pieniądze!..

CZĘŚĆ II.

102310

I.



ad ranem, uspokoiwszy się nieco po ataku nerwowym, Michalik opowiedział wszystko towarzyszom. Słuchali go w milczeniu, nie przerywając opowiadania uwagami ani pytaniami. Czuć było z każdego słowa że mówił szczerą prawdę, nie szukając wyretów, ani usprawiedliwień, i że rozpacz straszna żarła mu duszę.

Ale, gdy umilkł, tylko jeden Grażewski uśmiechnął się do niego i mocno, po przyjacielsku, uściśnął go za rękę. Zaraz potem zasnął. Tak był wycieńczony, że raz po raz zasypiał w jednej chwili. Głowa zwisała mu bezwładnie na poduszce, nawpół otwarte usta nadawały jej taki trupi wyraz, że wszystkimi wstrząsnął dreszcz śmiertelnej trwogi. Nikt przez chwilę nie ważył się zbliżyć do łóżka.

Wreszcie Pehlarz podszedł i pochylił się nad kolegą.

— Śpi—szepnął półgłosem.

Ranek był szary, chmarny w pokoju, który miał jedno okno, wychodzące na niewielkie, podobne do stadni podwórko, panował jeszcze mrok. Kusy na palcach zbliżył się do okna i dał ręką znak Michalikowi.

— Wyście sami nikogo nie wsypali?

— Nie.

Mówił szeptem, aby nie obudzić śpiącego towarzysza. Ledwo wyrazy było słyhać. Pehlarz także podszedł do nich. Głowę miał obandażowaną starym ręcznikiem, ponieważ Michalik pokaleczył go w bójce rękojeścią rewolweru. Teraz dopiero uświadomił to sobie, spojrzawszy na ów bandaż.

— Nie gniewasz się? — odezwał się do kolegi, nieśmiało, nawpół wyciągając do niego rękę.

— Co się na waryata gniewać! — mruknął Pehlarz.

Dodał po chwili ze złością w głosie:

— Darłeś się, jak nieboskie stworzenie. Aż ludzie przychodzili do drzwi. Skończy się tem, że nas dziś jeszcze na łeb stąd wyleją...

Michalik spojrzał na niego błagalnie. Malowała się w tem spojrzeniu pokorna prośba: „mógłbyś mi choć teraz dać spokój“. — Wyszeptał:

— Ja przecież, jak waryat... nie nie wiedziałem.

— Ale i ty masz łeb pokiereszowany— odparł Pehlarz, uśmiechając się z zadowoleniem. Dobrze ci gębę zawiązałem — dodał— ani słówka nie mogłeś już pisnąć. Żebym był jeszcze pół minuty dłużej trzymał, nie wstałbyś żywy...

Pomimo wszystkich rozumowań, któremi starał się przekonać, miał w duszy utajoną zwierzęcą złość do Michalika. I czuł nerwową potrzebę wyładowania tej złości, choćby przez przypomnienie koledze, że i on ze swej strony też go nie pożałował.

— Głupstwo!—syknął Kusy.

Wpił się w Michalika świdrującem spojrzeniem swoich małych, czarnych oczek i wycedził przez zęby:

— Z wami sprawa skończona. Działaliście pod wpływem pewnego „efektu“ (Kusy starał się zawsze mówić naukowym stylem), ale co zrobić z tamtym łotrem?... On dażo rzeczy wie, jeszcze z Warszawy, może być niebezpieczny.

— Jakto — co? — zachnął się Michalik — utłakę!

Poprosta oburzyło go to pytanie. Wydawało mu się rzeczą tak jasną i konieczną, że musi sam, i to natychmiast, zamordować Kot-

kiewicza, że słowa Kusego dotknęły go, jakby umyślne szyderstwo.

— Wy?

W małych oczkach Kusego mignęło powątpiewanie. Michalik odgadł intacyjnie, co jego towarzysz miał na myśli. Uważał go za tak słabe i niezdarne stworzenie, że już i w to nawet nie wierzył, aby taki człowiek, jak on, mógł się zdobyć na zemstę. Z apokorzenia krew uderzyła Michalikowi do głowy. W tej jednej chwili znenawidził Kusego, tak samo prawie, jak znenawidził Kotkiewicza. Powtórzył twardo:

— Utlukę!... dziś jeszcze utlukę jak psa!... Obejrzycie go w mordze.

— Pewno, że powinien — potwierdził Pehlarz. Drań był by, gdyby tego nie zrobił.

— Nie bójcie się, zrobię...

— Donosić partyi niema co—mruknął Kussy. Jakby zaczęli badać sprawę, skończyłoby się na tem, że Kotkiewicz miałby czas uciec z Paryża. Już oddawna gadano przecież, że jest szpiegiem—i co?

Kusy mówił o partyi z niechęcią. Sam nie należał już do niej. Wystąpił zaraz po przyjeździe do Paryża, gdyż nosił się z zamiarem założenia nowej, odrębnej zupełnie organizacyi, której statuty wciąż przerabiał i układał z maniackim zapałem.

— Najlepiej będzie sprzątnąć Kotkiewicza

odrazu... I nikt inny nie może tego zrobić, tylko wy—zasyczał z furią prawie, zwracając się do Michalika.—Musicie się oczyścić... To, żeście się przyznali, to jeszcze nie nie znaczy...

— Pewno—wtrącił Pehlarz, każdyby mógł szpicłować, a potem się rozbeczeć.

— Zważywszy—ciągnął Kusy, że nie przyszliście opowiedzieć nam tego z rozmysłem i na zimno.

Michalik zbladł, ale zacisnął zęby. Nie mógł ani słowa na tę uwagę odpowiedzieć. Upokorzenie odezwało mu się tylko w duszy echem nienawiści do Kotkiewicza. Gorsze były te słowa, niż gdyby go kto bił po twarzy i pluł mu w oczy. I czuł, że dopóki szpieg żyje, każdy będzie miał prawo tak do niego mówić.

Wyprostował się tak gwałtownie, aż mu kości zatrzeszczały w stawach. Dzień był już jasny, słońce świeciło do pokoju. O tej porze Kotkiewicz, który włóczył się całymi nocami po knajpach, musiał już być z powrotem w mieszkaniu: spał. Michalik doznał nagle takiego wrażenia, jak gdyby wszystko zeszywniało w nim i zlodowaciało. Z uśmiechem spojrzął na Pehlarza.

— Oddaj mi rewolwer.

Przez myśl nawet mu nie przeszło, żeby mógł po zabiciu Kotkiewicza uciec. Wiedział,

że go schwyć od razu. Ale był zdecydowany na wszystko. Taka sama człowiekowi nędzą w katordze, jak i na wolności.

Kasy ujął go za łokieć.

— Czekaście, powoli...

— Na co mam czekać...

— W mieszkaniu nie będziecie go przecież zabijali...

— W łóżku ma w łeb strzelę, niech mnie biorą...

— Tu nie o was chodzi—syknął zniecierpliwiony. Przedewszystkiem mieszkanie jest cudze, należy do partyjnego faceta, nieetycznie byłoby go narażać, powtóre całą rzecz trzeba urządzić tak, aby uniknąć skandalu. Paryscy łapacze chytry, jeśli wytropią polityczny charakter sprawy, od razu nam na łeb wsiądą... Trzeba pocieha, ostrożnie...

— Więc jak?...

Michalik ze zdumieniem wytrzeszczył oczy na Kasego. Sam miał jedną tylko myśl w głowie, że musi jaknajprędzej zamordować Kotkiewicza. Pojąć nie mógł, że może istnieć coś jeszcze poza tem.

— Jak? Cóż wy za grosz własnego rozumu nie macie?—irytował się Kasy.—Wyciągnijcie go za miasto, i tam, gdzie w krzakach... żeby potem, jak trupa znajdą, wyglądało, że to apasze...

— Możeby go zadźgać najlepiej—wtrącił Pehlarz.

— Tak—potwierdził Kusy,—toby było najlepiej.

Michalik obracał bezmyślnie kapelusz w rękach. Miał już iść i chciał jeszcze coś powiedzieć, ale słów mu brakło na wyrażenie tego nieokreślonego uczucia, które snuło mu się po duszy. Spojrzał na łóżko. Grązewski spał wciąż jeszcze. Postanowił doczekać, póki się nie obudzi, bo miał wrażenie, że się już rozstają na zawsze. Chciał się z nim pożegnać.

— Ale z was dziwny człowiek, zaskrzeczał znowu Kusy—wiedzieliście, że Kotkiewicz i tak i zawsze was coś do niego ciągnęło.

Michalika aż ręka zaświerbiała, żeby go uderzyć. Ale się pohamował. Z trudem. Czuł, że jeśli Kusy raz jeszcze wypomni mu Kotkiewicza, to już nie wytrzyma... Mruknął, mierząc go nienawistnym spojrzeniem:

— Dajcie mi spokój!

Na szczęście w tej samej chwili Grązewski westchnął i otworzył oczy. Obudził go gwar, który dolatywał przez okno z hałaśliwego podwórka. Michalik szybko zbliżył się do łóżka.

— No, do widzenia—odezwał się z łagodnym, rzewnym uśmiechem.

Opowiedzieli mu wszystko, co postanowili

podezas jego snu. Grażewski słuchał, potakując głową. Potem wyciągnął do Michalika rękę, uścisnął go mocno, serdecznie, przygasłe oczy zamigotały mu jakimś żywszym blaskiem. I Michalik znów doznał takiego uczucia, jak gdyby wszystko zastygło w nim i zlodowaciało.

II.



Choć dzień o świecie zapowiadał się dżdżysto, wypogodziło się potem i słońce poczęło jasno świecić. Ale po deszczu, który padał w nocy, w powietrzu została rozkoszna świeżość, jak gdyby już zalatywało skądś pierwszym jesiennym chłodem. Kiedy Michalik wybiegł od Grążewskiego, było jeszcze wczesnie i w ulicy rozbrzmiewały przeciągłe, melancholijne krzyki przekupniów jarzyn, którzy ciągnęli wzdłuż chodników, popychające swe wózki. Razem z Michalikiem wyszedł i Kusy, mieli wspólną drogę aż do bulwaru Montparnasse. Przeszli ją, nie zamieniwszy ani jednego słowa. Dopiero, kiedy się mieli rozejść, Kusy się odezwał:

— A nie zapomnijcie przetrząsnąć mi kieszeni.

— Wiem, co mam zrobić — odparł ostro Michalik.

Wydało mu się śmiesznem, że Kusy, który nigdy do bojówki sam nie należał i zajmował się zawsze tylko agitacją i literaturą, chce go uczyć, jak ma postępować. Dorzucił z szyderezym uśmiechem:

— Ja do gadania tylko nie mam wprawy, swoje zrobić potrafię.

Kusy zrozumiał przycinek, ale zmilkł. Podali sobie chłodno ręce i rozeszli się. Po chwili Michalik obejrzał się raz jeszcze za tawarzyszem. Kusy szedł szybko. Zakopiańska peleryna, z którą się nigdy nie rozstawał nawet podczas największych upałów, rozwiewała mu się po bokach, tworząc jakby skrzydła. Niewypowiedziany wstręt zdjął nagle Michalika do tej groteskowej postaci.

— Garbus, pokraka — zaklął, spluwając z obrzydzeniem.

Zatrzymał się, żeby skrócić papierosa. Mimowoli spojrział przed siebie w górę. Skroś lekką mgłę, która unosiła się w powietrzu, widać było bazylikę i domy na Montmartre. Na błado-niebieskiem tle nieba rysowały się kontury delikatnymi liniami, tworząc wrażenie jakby jakiegoś napowietrznego miasta z obłoków...

Przedziwna żałość ścisnęła Michalika za serce na ten widok.

— Psiakrew... Montmartre—westchnął, nigdy go nie widać, a dziś wylazł... W chaotycznym obrazie przesunęły mu się przed oczami wszystkie wspomnienia tych jego najlepszych paryskich czasów, kiedy mieszkał na Montmartre u Steina. I aż się zdziwił. Takie te wspomnienia były dalekie, jak gdyby lata całe przeminęły od czasu jego znajomości z malarzem. Utkwił wzrok w ziemi, nie chcąc już patrzeć nawet na Montmartre. Czuł, że go to tylko niepotrzebnie roztkliwia i odejmuje mu wolę.

Ale już było za późno. Jeden moment zapomnienia wystarczył, aby go wytrącić z równowagi. Uczuł się nagle przedziwnie zmęczonym i osłabionym. Napróżno siłą woli starał się wskrzesić w sobie tę jakąś zimną zawziętość, która spajała wszystkie jego uczucia w jedną myśl i pragnienie, już go się nerwy nie słuchały.

Skręcił w Aleję Obserwatoryum, która go nęciła chłodnym cieniem kasztanów i przysiadł na ławce pod drzewami, aby wypocząć. Po ataku nerwowym i nieprzespanej nocy, upał ściał go z nóg. A przede wszystkim musiał obmyśleć cały plan postępowania, bez tego nie miał co szukać Kotkiewicza. Sam na to tylko był przygotowany, żeby mu strzelić w łeb, nie licząc się z niczem, Myśl, że będzie musiał jeszcze z nim rozmawiać, grać

komedyę i że ta cała sprawa, nim uda mu się wciągnąć Kotkiewicza w zasadzkę, może trwać dzień, dwa, przejmowała go lękiem. Zdawało mu się, że Kotkiewicz, który był piekielnie chytry na wszystko, a jaż tysiąc razy chytrzejszy od niego, odrazu ma podstęp z oczu wyczyta. A ponadto gniewało go także, że ów plan, który ma nowy zamęt do dąsży wprowadzał, był pomysłem Kusego. Rozumiał jednak, że Kasy miał rację.

Układał więc w głowie rozmowę z Kotkiewiczem. Ale nie kleiła mu się. Zanadto był zmęczony. Morzył go sen, mimowoli mrużył oczy, tak, że chwilami nie widział, tylko jakby kolorową smugę, w którą mieniły mu się przed wzrokiem klomby kwiatów pośrodku trawnika.

— Dzień dobry panu!...

Szybko odwrócił głowę w bok, mrugając oczami. Jakiś stary, siwy człowieczyna w wyswiechtanym tuzurku, siedział przy nim na ławce. Kiwnął mu głową z życzliwym uśmiechem i wyciągnął na powitanie rękę.

— Dzień dobry!—odparł Michalik machinalnie.

— Poznaje mię pan?

— Ma się rozumieć!—krzyknął i już wyraźnie przypomniał sobie staruszkę. Był to malarz, który zachodził raz po coś do pracowni Steina. Poznali się wtedy przelotnie.

Michalik ledwo go widział co prawda, ale utkwili mu w pamięci jego oczy i poznał go po spojrzeniu. Stary miał oczy niesłychanie żywe, pełne młodzieńczego ognia, które stanowiły dziwny kontrast z jego siwymi włosami i zawiędłą, pomarszczoną twarzą.

— Ale pan sobie chrapał... Ja już tu z kwadrans siedzę i obserwuję pana.

— Doprawdy?... Takim się zdrzemnął— dodał po chwili tonem bezwiednego usprawiedliwienia. Gorąco, to spać się chce.

Stary uśmiechnął się złośliwie.

— Pewno, pewno, zwłaszcza, jak się w nocy nie dośpi. Od Steina niema pan wiadomości?—zapytał nagle.

— Nie—odparł Michalik.

— Ja miałem kartę. Pisze, że mu dobrze nad morzem, ale za dwa tygodnie wraca do Paryża...

— Wraca?.. —krzyknął Michalik ze zdumieniem?

— A cóż pan myślał, że na stałe w Bretanii zamieszka?

— Ma się rozumieć, ma się rozumieć— przytakiwał pospiesznie. W pierwszej chwili wydało mu się to najzupełniej nieprawdopodobnem, aby Stein mógł być do Paryża powrócić. We wrażeniu stał się on już dla niego tylko obrazem z niepowrotnych wspomnień.

Umilkli.—Trzeba będzie iść, zaświdrowało mu w mózgu.

Przeciagnął się ociężale i podźwignął, aby wstać z ławki, ale stary malarz zatrzymał go za rękę.

— Niech-że pan nie ucieka.

— Mam różne sprawy—począł się tłumaczyć, tłumiąc nerwowe ziewanie, które go pochwytiło.

— Sprawy nie uciekną — śmiał się stary. Zatrzepotał palcami w powietrzu, jakby sprawdzając władzę w stawach, westchnął i mierząc Michalika przenikliwym spojrzeniem, odezwał się po chwili:

— Niech pan zje ze mną śniadanie.

Michalik wytrzeszczył na niego oczy.

— Waha się pan, czemu?... Nie sądzę, aby pana powstrzymywał ten skrupał, że się ledwo znamy. Wszyscy ludzie ledwo się znają. Można całe lata z kimś przeżyć, potem starczy jednego momentu, aby się przekonać, że ten ktoś jest najzupełniej obcy... — dodał z szyderezym uśmiechem.

— Ale ja, doprawdy, czasu nie mam—wymawiał się Michalik.

Ciągnęło go, co prawda, żeby pójść ze starym, nie śmiał nawet jednak przyznać się przed sobą samym szczerze do tego pragnienia. Utajona chęć podsunęła mu cały szereg wykrętnych myśli. Ostatecznie nie miał się

poco do domu śpieszyć. Kotkiewicza w ciągu dnia znajdzie, a nawet, skoro musiał przedewszystkiem zmierzyć się z nim na chytróść, to i lepiej było przeczekać, aż wypocznie, ochłonie, nabierze świeżej myśli.

— Cóż, odmawia pan? — dopytywał się staruszek, z akcentem prawdziwego smutku w głosie.

— Pójdę — mruknął, decydując się w jednej chwili.

— Co sobie mam na ostatni dzień żałować — zbantował się w daszy, przeciw jakiejś nieokreślonej trwodze, która go zdjęła, jak tylko powiedział to „pójdę“.

Stary malarz wstał z ławki.

— Chodźmy zaraz — rzekł, na śniadanie zawezwać, ale możemy przez ten czas wina się gdzie napić. Wszak pan pije?

— Piję — uśmiechnął się Michalik, którego zastrzeżenie tego rodzaju wydało się zabawnem.

— Pogadamy. Pan dawno w Paryżu?

— Pół roku przeszło.

— Wyrzuciło pana na ten śmietnik wszystkich tęsknot i marzeń. Ja tu od dziewiętnastu lat siedzę. Twarde mam życie — dorzucił z uśmiechem.

Usiedli na ulicy przy stoliku przed drzwiami małej, robotniczej restauracyi. Stary malarz kazał podać litr wina. Pierwszą szklan-

kę wypił duszkiem prawie, otrząsnął się nerwowo, zakaszał, aż mu oczy zaszyły łzami. Przetarł je brudną, starannie złożoną chustką i, uśmiechnąwszy się do Michalika, zaczął:

— Mam takie dni, że mnie od samego rana wyrzuca z domu na miasto. Muszę gadać z ludźmi i pić, żeby mózguna gadać. Bo na trzeźwo jestem mruk, i Stein musiał panu zarekomendować mnie, jako waryata... Niech pan nie przeczy, nie mówię tego z ironią, ani z przekąsem. Widzę, że pan ciągnie porządnie — wtrącił z łagodnym uśmiechem, wskazując oczami na pustą szklanke Michalika. Zaraz drugi litr nam podadzą.

Michalik pił szybko, postanowiwszy świadomie się upić.

— Ja maluję — ciągnął staruszek. Pan się zna na malarstwie?

Potrząsnął przecząco głową. Odkąd zaczął pić, nie słuchał już tego, co stary mówił. Pochłoneły go własne myśli i zbudziły w nim nagle głuche rozgoryczenie. Wszystko poczęło mu się inaczej przedstawiać w mózgu. On swoje zrobił, zerwał ze szpiclami, okarzył się, czegoż od niego więcej chcieli.

Pragnienie zemsty, natychmiastowego zamordowania Kotkiewicza, które przed chwilą jeszcze żarło mu duszę, jak ogień, przygasło nagle. A jemu dyabli do tego, że tamten

szpieg! Niech sobie z nim rewolucyoniści wojują; on sam nie chciał już z partjami i z polityką mieć nie wspólnego.

— Szezęśliwy drań! — myślał, patrząc na starego malarza.—I wyobrażał sobie w myśli jego dzień. Urźnie się, pójdzie do domu, wyśpi, nazajutrz obudzi ze spokojną głową. A on w tej chwili może już właśnie będzie w więzieniu siedział, bo to łatwo powiedzieć: zabij tak, żebyś mógł uciec...

Wypił znów duszkiem szklanekę wina.

— To pan mówi, że Stein za dwa tygodnie do Paryża wróci?

— Tak mi pisał.

— Hm...

Szereg błyskawicznych obrazów przesunął mu się przez mózg. Byle tylko te dwa tygodnie przeczekać, potem Stein dałby mu znów u siebie mieszkanie. A na Montmartrze to tak, jakby do innej gubernii pojechał, pies go nie odnajdzie. Ostatecznie najważniejsze, aby mieć gdzie mieszkać, reszta zawsze się jakoś wykręci, popoznawałby go Stein z kolegami i mógłby im do malowania pozować.

Mało to tak zarabia... Spojrzał podejrzliwie na starego. Nie śmiał pochwycić myślą tej nadziei, która już, już świtała mu gdzieś w mózgu.

Malarz, podniecając się coraz bardziej winem i własnymi słowami, gadał bez przer-

wy. Czasami przez stół chwycił Michalika za rękę i nerwowo go ścisnął. Wpadały mu wtedy w uszy urywane zdania:

— W tej chwili wiem, kim jestem. Piję i mam święto w duszy. Przy pracy opadają mnie zwątpienia. Na co się to komu zdało! Zdechnę ja, przyjdzie inny, tak samo będzie smarował po płótnie, będzie chciał coś stworzyć, o czym Pan Bóg zapomniał... Ale kiedy w powszedni dzień piję i uprzytamniam sobie, że dookoła trzy miliony ludzi pracuje ciężko—z wiarą, wtedy dama we mnie wzbiera. Jestem potrzebny i ja, i pan, i całe nasze bezimienne bractwo nędzarzy, którzy przetykamy sobie głód brylantami marzeń, zupełnie jak waryaci, co się w kwiaty stroją. My jesteśmy tym gnojem, który ożywia świat—tęsknotę ludzką, bo czemże innem jest ziemia, jak nie polem, tą tęsknotą zasianem... Raz po raz wystrzeli kwiat, ale potrzeba nawozu.

Zadyszany amilkł, zaczerpnął powietrza, odgarnął ręką kosmyki swych włosów, które opadły mu na czoło i po chwili znów zaczął:

— Ja maluję, pan rzucał bomby w Warszawie — ja chcę przemieniać to, co Bóg stworzył, pan to, co ludzie zrobili, z naszych pragnień narodzi się w czyjejsz duszy myśl.

— Już się urzynał! pomyślał Michalik.

Z całej przemowy malarza tylko uwaga o bombach utkwiała mu w głowie wyraźnie.

I nagle, rozdrażniony, zaczął się wyrzekać rewolucyi.

— Socyalisty, złodzieje, wszystkim od bar-
żajów i tchórzów wymyślają, a każdy o tem
tylko myśli, żeby sobie kałdan zapchać.

III.



Kiedy się ocknął ze snu, w pierwszym momencie nie umiał sobie zdać sprawy z tego, co się z nim stało. Leżał na wznak w głębokiej trawie, wilgotnej od rosy. Była noc, na niebie błyszczały gwiazdy. Wydało mu się, że są większe i że jaśkrawiej się palą, niż zwykle. Dzwonił mu w uszach jakiś łagodny szmer, w którym po chwili dopiero rozpoznał pluskanie wody po kamieniach. Odetchnął głęboko wilgotnym zapachem traw.

Nagle ocknęła mu się i pamięć w mózgu. Zajaśniała jednym oderwanym obrazem: małego pokoju, w którym słońce czerwieniło ściany i kilkunastu twarzy, jakby zawieszonych w kłębach dymu w powietrzu.

— Aha... urznąłem się ze starym—mruknął i uczuł ostry, tępy ból w głowie. Jedna

ręka ścięła mu we śnie, wyprostował ją powoli, aby odzyskać czucie.

Ale, skąd się wziął tutaj w trawie?...

Wyteżył pamięć, chcąc odnaleźć ciągłość pomiędzy obrazami, które raz po raz występowały mu jaskrawo w głowie, jakby wychodząc z jakiegoś ciemnego akrycia. Z ciężkim trudem, powoli łączył szczegóły w jedno logiczne pasmo. Już dobrze byli obaj pijani, kiedy poszli na obiad, potem przyłączył się do nich jakiś francuz, potem jeszcze jeden, dwie dziewczyny, w końcu zebrała się cała banda, z dziesięć osób. Stary wlaź na krzesło i coś krzyczał, wymachując rękami. W jednej knajpie nie chciano im nie podać do picia, tłusty, mały, ogolony mężczyzna, o którym mówił stary, że był najznakomitszym aktorem we Francyi, odgrażał się, że przez znajomego senatora odbierze restauratorowi koncesyę.

Przypominając sobie te szczegóły, Michalik miał wrażenie, że wciąż rozmawiał ze wszystkimi po francusku i rozumiał doskonale, co do niego mówiono.

Potem został nagle na ulicy sam jeden. Przyśpieszał kroku, żeby resztę towarzystwa dogonić, ale gdzieś znikli i nie mógł ich już odszukać.

Uniósł się, chcąc wstać, ale tak był obojętny, że zaraz osunął się z powrotem na zie-

mię. I leżał, przymknąwszy oczy w jakimś gorączkowym półuśpieniu, w którym wspomnienia zdarzeń rzeczywistych mieszały się z halucynacjami. Zdawało mu się więc, że jest w Warszawie, i że razem ze Steinem, który także nibyto do bojówki należał, siedzą na ławce w Saskim ogrodzie, wyczekując na jakiegoś generała. Mieli go zastrzelić. Michalik ścisnął gorączkowo rewolwer w kieszeni, obmyślając, w którą stronę najlepiej będzie potem uciekać. Aż tu Stein zrzucił nagle pośpiesznie ubranie i został zupełnie nagi. Michalik zaczął mu wymyślać:

— Czyś ty oszalał? Przecież nas do cyrkuła wezmą. Ubieraj się zaraz! Na szczęście, choć w ogrodzie pełno było ludzi, nikt na Steina nie zwrócił uwagi. A malarz się śmiał:

— Nie nie szkodzi, ucieknę na wielbłądzie. I wtedy dopiero Michalik spostrzegł, że na trawnikach pełno było zwierząt, jak w „*Jardin des Plantes*“. Ocknął się.

Gdzieś niedaleko szedł pociąg. Słychać było sapanie lokomotywy i głuchy tuktot kół, który donośnie rozbrzmiewał w ciszy.

— To ja musiałem ich zgubić, poszedłem po pijanemu za miasto i usnąłem—zdał sobie nagle sprawę. Usiadł w trawie, przetarł oczy i rozejrzał się dookoła, starając sobie przypomnieć miejscowość.

Niebo już poszarzało, ponad czarną gęstwą drzew, które zasłaniały w oddali horyzont, snuły się wśród obłoków czerwonawe, brudne smugi wschodu, jakby zamazane dymami.

— Psiakrew!

Ubranie miał pomięte i przemoczone.

— Jak ja się w mieście tak pokażę! — zatrwożył się nagle. Zerwał się z ziemi, otrząsnął nerwowo i poszedł łąką przed siebie, chcąc jakąś drogę znaleźć.

— Do planty najlepiej będzie dojść — pomyślał, usłyszawszy gdzieś w pobliżu miarowe uderzenia elektrycznego sygnału.

Ostry chłód otrzeźwił go do reszty i z niesłychaną jasnością uprzytomnił sobie w mózgu zmienne stany podniecenia i upadku nerwów, które przeżywał w ciągu tych ostatnich, fatalnych dni.

— Stało się, trudno! — mraknął półgłosem i przyśpieszył kroku.

Pojał, że wszystko, co mu się marzyło po głowie podczas wczorajszego pijaństwa, było pijacką mrzonką tylko. Rozwiało się bezpowrotnie z chwilą, gdy otrzeźwiał.

Sięgnął ręką do kieszeni, poczuł stalowy chłód rewolweru, i to przelotne dotknięcie zbudziło w nim wizję Kotkiewicza, leżącego z przestrzeloną głową, gdzieś w takiej samej pustce, jak ta, w której on noc spędził. Wzdry-

gnął się, ale zaraz zacięła mu się dusza w jakimś twardem poczuciu konieczności.

— Wyprowadzę go, zbója, za miasto, zmanię, że jedna dziewczyna na niego czeka...
i ani zipnie...

Panował wolą nad myślami, pragnąc tylko ten jeden obraz mieć w głowie, o wszystkim innym — zapomnieć. I włókł się ponuro, jakby do jakiejś niesłychanie ciężkiej i męczącej pracy, z którą już raz był się uporał i którą kazano mu zaczynać na nowo.

— Psiakrew! Ciekł człowiek do Paryża i tu spokoju niema — westchnął.

Ale już mu się dusza nie zrywała do buntu, to, co miało się stać, przyjmował, jak twarde wyrok losu, tej fatalistycznej siły rewolucyi, która szła za nim, jak widmo.

Czuł, że Kotkiewicza zabić musi. Inaczej — jego samego ogłoszonoby za prowokatora, a Kotkiewicz, do którego doszłoby oczywiście wszystko — wydałby go przez zemstę policyi.

— Mają mnie złapać, to niech na jedną stronę będę przynajmniej czysty — powtarzał uporeczywie, chcąc się zasuggestyonować tą myślą.

Z łąki wyszedł na drogę, wzdłuż której ciągnęły się szeregiem żelazne słupy przewodników tramwajowych. W oddali widać było martwe, uśpione domy. Głucha cisza obejmowała

wała wszystko niewypowiedzianym smutkiem. Raz po raz wiatr przewiewał i niósł drogą tamany kurzu, które zrywały mu się z pod nóg i kłębiły ku górze, przybierając kształty fantastycznych widziadeł. Zdawało się, że chcą z wiatrem ulecieć w powietrze, ale wnet, jakby mdlejąc z wysiłku, opadały z powrotem ku ziemi.

Minąwszy podmiejską ulicę, która raptownie zaczynała i urywała się w pustce, znalazł się na wysadzonym drzewami nasypie nad kanałem. W nieruchomej, gładkiej, jak szkło, wodzie nadbrzeżne topole odbijały się tak wyraźnie, iż zdawało się, że jakieś inne drzewa rosną pod wodą wierzeholkami w dół. Świt wstawał coraz jaśniejszy, wróble poczęły hałaśliwie świergotać wśród liści.

— W prawo, czy w lewo? — zastanowił się Michalik, nie umiejąc zorientować się w miejscowości.

Odwrócił się szybko, pochwyciwszy jakiś szmer poza sobą. Ujrzał w oddali, na zakręcie kanału dwie barki, połączone sznurami. Płynęły cicho, jakby ślizgając się tylko po powierzchni wody. Brzegiem nasypu wlokła się wychadzona szkapa, która ciągnęła na długiej linie łodzie. Obok szedł mężczyzna w robotniczej bluzie i dziecko.

Mężczyzna strzelił nagle z bata i począł gwizdać „Marsyljanke”. Oстрыm, przenikli-

wym rytmem rozbrzmiewała melodia w powietrzu. I jakby obudzone w tej chwili z uspienia i niebo, i powietrze, i woda w kanale powlokły się różową pożyłą.

Michalik stał zapatrzony. Jakiś błysk wspomnienia, szybszy od myśli, przeleciał mu przez duszę. I wydało mu się, że już był raz kiedyś nad tym kanałem, o takim samym ciemnym brzasku, i widział te dwie barki, które bez szelesta płynęły po wodzie, i ludzi, którzy szli brzegiem. Było to wrażenie takie silne i dziwne, że aż graniczące z lękiem prawie. Stał oszołomiony, nie mogąc się z niego otrząsnąć.

IV.



Kotkiewicza nie było w mieszkaniu. Albo też spał już tak mocno, że Michalik nie mógł go się dobrać dzwonieniem. Prawdopodobniejszem wydało mu się jednak, że nie powrócił jeszcze. Sam nie mógł się do wnętrza dostać, bo, wychodząc z domu, zapomniał był klucza. Usiadł więc na schodach i postanowił czekać.

Czuł, że Kotkiewicza musiała dziwić jego dwudniowa nieobecność. Lękał się nawet, czy nie wzbudziła w nim jakich podejrzeń. Był to lęk czysto nerwowy, bo Michalik rozumiał ostatecznie, że Kotkiewicz, mimo całą swoją chytrą, Duchem Świętym nie był i nie mógł przewidzieć tego, co się stało.

Posiedział z kwadrans, gdy doleciały go nagle z sieni znajome, ciężkie kroki towarzysza.

Wszystko zamarło w nim na chwilę, ale wnet opanował zdenerwowanie instynktem. Rozciągnął się i przymknął oczy, udając, że śpi. Kotkiewicz, wchodząc na schody, mruzczał coś niewyraźnie pod nosem. Michalik domyślił się z tego, że musiał być podпиты. Ucieszyło go to. Najbardziej obawiał się pierwszego momentu, w którym mieli spojrzeć sobie w oczy. Zdawało mu się, że się zmieszają i zaczerwieni.

Z pijanym sprawa była łatwiejsza.

Już o piętro niżej, spostrzegłszy go ledwo, Kotkiewicz począł Michalikowi wymyślać ochryplym, zapitym głosem:

— Znalazłeś się, złodzieju!.. Dla takiego, jak ty, to i pod drzwiami za dobrze!

Michalik nie odpowiadał, udając wciąż, że śpi.

— Wstawaj!

Kotkiewicz pochylił się i zatargał nim gwałtownie.

— To ty!...

— Nie, nie ja! — odbruknął.

— Widzisz go, jaki chytry — parsknął szyderezym śmiechem. — Pod samymi drzwiami się awalił. Czałeś, że nie powinienem był cię budzić, tylko na schodach do rana zostawić. Gdzieś ty się przez dwa dni włóczył? — zapytał nagle, mierząc go badawczym, przenikliwym spojrzeniem.

Michalik roześmiał się bezmyślnie.

— Piłem.

— Z kim?

— Z dziewczyną jedną. Zaprowadzę cię do niej. Sam się ledwo ruszam, pocierp i ty... Jak żyję, takiego dyabła nie widziałem.

— I przez dwa dni cię trzymała?

— Cóżes ty myślał?...

Weszli do mieszkania. Kotkiewicz rzucił się w ubrania na łóżko i leżał przez kilka chwil milcząc. Michalik stanął koło okna. Rękę wsunął w kieszeń i nakierował browning tak, aby móżdż strzelać przez marynarkę. Nie mógł się jeszcze pozbyć zdenerwowania, pomimo, że ten pierwszy moment, którego obawiał się najbardziej, przeszedł już szczęśliwie.

— Wszystkoś przepił?—odezwał się nagle Kotkiewicz.

— Prawie.

— Warto takiemu, jak ty, dać pieniądze do ręki.

Było to wypowiedziane tonem takiej szczerzej pogardy, że Michalikowi, aż serce żwawiej zadrgało w piersiach z radości.

— Och, ty darnia! — pomyślał, uśmiechając się złośliwie.

— Przez ciebie i ja musiałem się przez całą noc włóczyć—ciągnął Kotkiewicz ze złością w głosie.

— Niby czemu?

Nie ma nie odpowiedział. Michalik zresztą sam domyślił się przyczyny. Kotkiewicza coraz bardziej opanowywała chorobliwa mania strachu przed widziadłami nocnymi. W ostatnich czasach na noc zostawiał zawsze lampę zapaloną w pokoju i po obu stronach łóżka kładł na krzeselkach dwa nabite rewolwery. Mimo to prześladowała go trwoga i gdy był sam, nie mógł zasnąć.

— Rozbierz się i kładź się na swoje łóżko — odezwał się Michalik.

Sam chciał się również przespać trochę, a przynajmniej przeleżeć i wypocząć. Teraz oczywiście nie było co zaczynać nawet rozmowy. W południe, jak się obudzą zaproponuje Kotkiewiczowi wycieczkę za miasto. Rad był, że ta komedia, którą chytrze musiał odegrać, jeszcze się na parę godzin odwleka. Denerwowała go rozmowa z Kotkiewiczem i na razie przynajmniej chciał ją przerwać jaknajprędzej.

— Nie rozwalaj się tu! — powtórzył po chwili — tylko kładź się naprawdę.

Kotkiewicz nie zwracał na jego słowa najmniejszej uwagi, jak gdyby Michalik nie do niego mówił. Zamyślony, palił papierosa, wypuszczając dym wielkimi kłębami. Nagle odezwał się krótko, rozkazującym tonem:

— Zagotuj-no herbaty!

— Czyś ty oszalał?

— Niby czemu?

— Gęba ci się drze, ledwo na oczy patrzysz i zachciewa ci się herbaty.

Kotkiewicz przeciągnął się leniwie, usiadł na łóżku.

— W wagonie się wyspię.

— W jakim wagonie?

— Wyjeżdżam.

Michalikowi pociemniało w oczach.

— Ty! dokąd? — wyszeptał, nie umiejąc ukryć wrażeń, jakie wywarły na nim słowa kolegi.

Kotkiewicz roześmiał się tryumfująco.

— Zazdrość ci... do Brukselii jadę, bra-
cie... Mam tam sprawę, jak dobrze pójdzie,
odrazu będę panem.

Spojrzał na zegarek.

— Trzeba się pakować. Patrz, jaką so-
bie walizę kupiłem.

Poszedł do sąsiedniego pokoju. Michalik powlókł się za nim automatycznym krokiem. Wszystkiego mógł był się spodziewać i wszystko przewidzieć, prócz tego, że Kotkiewicz wyjedzie nagle z Paryża. Spadła na niego ta wiadomość tak nieoczekiwanie, że oszołomiła go zupełnie.

Czał, że ofiara ma się wymyka.

Kotkiewicz układał pośpiesznie rzeczy w walizce. Wszystko było nowiuteńkie, jak i walizka, w ostatnich dniach dopiero kupione.

— A ty, choć mnie nie będzie, możesz tu mieszkać, — odezwał się po chwili, tłumacząc sobie ponure milczenie kolegi obawą o utratę mieszkania.

— Skąd ci do głowy przyszło wyjeżdżać? Nie mi nie mówiłeś! — wybuchnął nagle ze złością w głosie Michalik.

— Miałem cię szukać może, żeby ci się opowiedzieć?.. Złożyło się i wyjeżdżam.

— Długo będziesz tam siedział?

— Z miesiąć, może i dłużej... Delikatna robota, bracie.

Wyciągnął pularę z kieszeni i przerzucił jakieś papiery. Michalikowi mignęła nagle w oczach ciemno-zielona okładka paszportu.

— Masz paszport?... — zadziwił się mimowoli.

— Wszystko mam. Zagotuj-no herbaty! — krzyknął nagle na Michalika. Stoisz i ślepią wytrzeszczasz, zamiast co pomódz. Widzisz, że się śpieszę...

Michalik posłusznie poszedł do kuchni. Zapalił maszynkę i oparł się plecami o ścianę, czekając, aż się woda zagotuje. Machinalnie otwierał i zamykał w kieszeni bezpiecznik rewolwera. W głowie nie mogło mu się pomieścić, że Kotkiewicz wyjeżdża. Jak gdyby przeczuł... I chwilami doznawał wrażenia niewypowiedzianej ulgi. Skoro się tak

złożyło, to trudno... Bo sam nie czuł już naprawdę w duszy nienawiści do Kotkiewicza. Cała złość i pragnienie krwawej zemsty przygasty w nim, skoro tylko ochłonął po nerwowym wybuchu. Ale, jak kamień, tłoczyła mu mózg myśl, że powinien zamordować szpiega. I ścisłała go za serce nieokreślona trwoga, zdawał sobie sprawę, że teraz zamach już się nie uda.

— Gdybym był wczoraj nie przepił całego dnia ze starym, to wczoraj można było zrobić — powtarzał w ponurem, apatycznym zamyśleniu.

Stanęła mu nagle przed oczami scena spotkania z Kusym, Grążewskim i Pehlarzem. Wyczekują tam pewno na niego, przekonani, że już się z prowokatorem załatwił. I zaraz zaczną go się dopytywać: „No, cóż“?. Kusy wpije się w niego swojemi świdrującymi oczkami. Nie uwierzą mu, że się tak naprawdę złożyło, że Kotkiewicz właśnie wyjechał. Pomyślą, że albo on sam stehórzył, albo uprzędził szpiega. Krew uderzyła mu do głowy. Wyobrażał sobie ich szydercze, podejrzliwe spojrzenia. „Odgrażał się odgrażał, i potem... nie udało się“. Zawrzała w nim piekielna furja złości i rozpaczy na myśl, że to on sam pierwszy wyrwał się z pomysłem zamordowania Kotkiewicza. Ale wtedy, w nocy naprawdę nieczego innego nie pragnął, tylko jak naj-

prędzej w łeb ma strzelić. Przytem, Kusy i Pehlarz tak na niego patrzyli, że po prostu wydarli mu oczami to powiedzenie z gardła. No, i co najważniejsze było postanowione, że skoro Michalik po eichu szpiega sprzątnie, to cała sprawa utonie między nimi czterema.

Teraz rozpowiedzą. Wyda się, że chciał do policyi przystąpić.

— Coś ty tam, usnął? — krzyknął ze swego pokoju Kotkiewicz.

Nie ma nie odpowiedział.

Kotkiewicz, nawpół ubrany, stanął na progu kuchni.

— Chodź tam, nie potrzebujesz przecież patrzeć, jak się woda gotuje.

Ale para już buchała z pod pokrywki naczynia. Michalik zajął się przyrządzaniem herbaty. Napełnił nią po chwili szklanki i przyniósł do pokoju. Kotkiewicz skończył się tymczasem ubierać i gotów już był do drogi.

Zasiedli obaj przy stoliku.

— Prędko misisz jechać?

— Za kwadrans. Odwieziesz mię na kolej?

— Zmęczony jestem. Spać mi się chce.

Zdjął go lęk, że skoro wszystko się tak fatalnie składało, mogli ich byli zobaczyć jeszcze w dorożce Pehlarz, Kusy, albo ktokolwiek wreszcie z kolonii. Przytem chciał już jak najprędzej stracić Kotkiewicza z oczu.

Kotkiewicz przyglądał się badawczo Mi-

chalikowi. Żałosny wygląd kolegi wzbudził w nim widocznie politowanie, bo po chwili odezwał się życzliwym tonem:

— A ty, jak tu z głodu nie chcesz po dawnemu zdychać, to się weź do roboty. Tobie tu łatwiej nawet, niż mnie, bo mnie oszczędzali, złodzieje... Po partyi kręć się więcej, podobno tam się teraz na nowo zaczynają ruszać. Na gębę pieniędzy nie dostaniesz, pierwszy raz dla zachęty ci dali, teraz już musisz z wiadomościami przyłazić. Jak będziesz co miał, syj do tego faceta, z którym cię poznałem, wiesz, gdzie mieszka.

Roześmiał się głośno, bezmyślnie.

Ten jego śmiech tak rozdrażnił Michalika, że w jednej sekundzie stracił panowanie nad sobą. Nienawiść i żądza krwawej zemsty znów wybuchnęły w nim z dawną siłą. Wszystko jedno, tu ma w łeb strzelić! — zasyczało mu, jak świst kuli, rozpaczliwe postanowienie w duszy. Wsunął do kieszeni rękę.

Ale w tej samej sekundzie, w błyskawicznym obrazie, zarysował mu się przed oczami rozkład schodów, domu, ulicy. Nimby był zdążył do bramy zbiedz, jużby go na pewno schwyтали. Ręka mu zmartwiała.

Kotkiewicz podniósł się z krzesła.

— Na mnie już czas.

— Ale — dorzucił nagle, zbliżając się do Michalika tak, że twarzą niemal dotykał jego

twarzy. Gdyby się ciebie pytano, co się ze mną stało, gadaj, że nie wiesz. Przepadłem i koniec, rozumiesz...

— Dobrze — mruknął Michalik.

— Za dwa miesiące się zobaczymy. Jak nie będziesz głupi, to powinienes tu sobie dać radę. No, śpiewaj! — odezwał się, wyciągając do Michalika rękę.

— Do widzenia.

Uścisnęli się za ręce, Kotkiewicz pochwycił walizkę pod pachę i, rozejrzawszy się raz jeszcze dookoła po pokoju, skierował się ku drzwiom. Michalik szedł za nim.

— Jeszcze czas, jeszcze czas — huczało mu pod czaszką, jak uderzenia jakiegoś tępego młota, który zdawało się rozbijał mózg na krwawą miazgę. We drzwiach Kotkiewicz odwrócił się raz jeszcze ku niemu.

— A jakbyś mnie wsypał... tobie to tam dyabli wiedzą... co może do łba strzelić, to pamiętaj, że niema takiego kąta na ziemi, gdziebym cię nie znalazł.

I znikł.

Michalik stał w progu, przysłuchując się, jak odgłos jego kroków stopniowo cichł na schodach. Potem zadzwonił metalicznie po kamiennej posadzce sieni. Michalik podbiegł szybko do okna. Mignęła mu w oczach sylwetka Kotkiewicza, który przeszedł śpiesznie

przez podwórze i znikł w ciemnym otworze bramy.

— Nie sądzone mu było, złodziejowi! — westchnął.

Obszedł powoli puste mieszkanie, potem usiadł przy stoliku nad szklanką niedopitej herbaty i zapatrzywszy się przed siebie przygasłym spojrzeniem, zamyślił się głęboko.

V.



o dwóch tygodniach Michalik wybrał się raz przed wieczorem na Montmartre, aby odszukać starego malarza. Nie wielką miał co prawda nadzieję, aby mu się to udało, ponieważ nie tylko nie znał jego adresu, ale nawet i nazwiska. Błąkało mu się po głowie niejasne wspomnienie słów Steina, że stary mieszkał: „niedaleko, w narożnym domu“. Postanowił obejść więc wszystkie narożne kamienice w pobliżu dawnej pracowni Steina i szukać.

Pragnął koniecznie starego odnaleźć, gdyż przypuszczał, że dowie się od niego cokolwiek o Steinie. Od paru dni denerwowała Michalika myśl, że Stein może już być w Paryżu. Żył nieokreśloną nadzieją, że z chwilą, gdy znów spotka dawnego przyjaciela i zamieszka z nim—wszystko się zmieni na lepsze.

Ostatnie dwa tygodnie po wyjeździe Kotkiewicza były dla niego niewypowiedzianie ciężkie. Przeżył je osamotniony najzupełniej, tak, że całymi dniami nie miał ust do kogo otworzyć. Wszystko złożyło się fatalniej, niż przewidywał. Pod wpływem trwogi i nieokreślonego wstydu postanowił był skłamać przed towarzyszami, że Kotkiewicz wyjechał niespodziewanie tej samej nocy, kiedy on się przed nimi oskarżył, i że, powróciwszy nazajutrz do domu, już prowokatora nie zastał. Czuł instynktownie, nie rozumując, bo to przewyższało jego siły, że zobowiązanie moralne, jakie powziął był wobec kolegów, nie dopuszczało niemożliwości. Skoro miał dużo czasu, powinien był w ciągu dnia wszystko przewidzieć, przeczuć, znaleźć okazyę i rozprawić się ze szpiegiem. Zwłaszcza po tem, co się mu naodgrażał i naprzysięgał zemsty. Dlatego też postanowił skłamać, zasłonić się zrzędzeniem losu.

Ale to kłamstwo wyszło od razu na jaw. Kusy widział Kotkiewicza w przeddzień wyjazdu na ulicy, nie tylko widział, ale nieznanie począł go śledzić i doprowadził aż pod samą bramę domu. Mieli więc dowód, że prowakator był nawet w mieszkaniu. Oczywiście, po pierwszych słowach Michalika od razu zarzucili mu brutalnie w oczy fałsz.

Tak go to rozgoryczyło, że postanowił

raz na zawsze zerwać wszelkie stosunki z rewolucjonistami. Święcie był przytem przekonany, że Pehlarz i Kusy, choć mu przyrzekli zachować w tajemnicy jego wyznanie o hańbiącej chęci sprzedania się policyi, teraz, przyłapawszy go na kłamstwie, które go znów stawiało w podejrzanem świetle, zaczną rozpowiadać wszystko po emigracyjnej kolonii. Unikał więc sam znajomych, nie chcąc narażać się na upokorzenia. Ale ta przymusowa samotność była cięższa od najgorszej nędzy.

Zdobywał sobie środki do życia w ten sposób, że wynosił pokryjomu rzeczy z mieszkania i sprzedawał za byle co podejrzanym kramarzom, którzy mieli sklepy ze starzyzną w sąsiednich zaułkach. Cieszyła go myśl, że prawdziwy właściciel mieszkania po powrocie do Paryża będzie podejrzewał o kradzież Kotkiewicza. Była to jego drobna zemsta.

Zresztą, kiedy na nowo o wszystkim rozmyślał w tem rozpaczliwie nudnem osamotnieniu, budziło się w nim znów uczucie pewnej sympatyi dla prowokatora. Szczerze, z całej duszy nienawidził Pehlarza i Kusego, zwłaszcza Kusego, i przenosił tę nienawiść na wszystkich dawnych kolegów partyjnych. Darować sobie nie mógł chwilami szlachetnego wybuchu, w którym siebie oskarżał i wydał Kotkiewicza. Miał był wówczas, po ocknięciu się z ataku nerwów, przelotne wrażenie

bohaterstwa, rozjaśniło mu się serce damą na myśl, że jednak nie wytrzymał, nie potrafił być szpiegiem. A tymczasem tak się wszystko złożyło, że ten poryw wyszedł mu tylko na gorsze.

— Dureń, dureń byłem! — powtarzał, zaciskając pięści ze złości.

... Nim się dowłókł na Montmartre, zrobiło się już ciemno zupełnie. Zatrzymał się niezdecydowany przed bramą domu, w którym Stein miał przed wakacjami pracownię. Ulica krzyżowała się nieopodal z inną — możliwem było, że tam właśnie w jednej z narożnych kamienic mieszkał stary dziwak. Mierzył je wzrokiem, jak gdyby namyślając się, od której zacząć poszukiwania.

I gdy tak stał, ujrzał nagle tuż przed sobą Steina. Malarz ukazał się na progu sklepu, obładowany najrozmaitszymi pakunkami. Michalik rzucił się ku niemu z krzykiem:

— To pan?

— W najprawdziwszej postaci — roześmiał się Stein wesoło. — Weź-no pan trochę tego, bo się nawet przywitać z panem nie mogę.

Oddał mu połowę pakunków, uścisnęli się serdecznie za ręce.

— Wygląda pan, jak trup — odezwał się Stein, marszcząc brwi. — Jakże się tu panu powodziło przez lato?

— Podle! — westchnął Michalik.

— Ale miał pan gdzie mieszkać przynajmniej?

— Nie bardzo — odparł z gorzkim uśmiechem, wyczekując już nerwowo, aby mu Stein zaproponował gościnę.

— Chodź pan do mnie. Doskonale się stało, że pana spotkał. Mam dziś gości: dwie warszawianki. Urządzimy sobie herbatę. Jak pan nie ma gdzie mieszkać, to może pan po dawnemu u mnie sypiać — dodał, ujmując go po przyjacielsku pod rękę.

Michalik odpowiedział mu tylko uśmiechem. Ale w tym uśmiechu tyle było serdecznej wdzięczności, że wzruszył nim Steina.

— Coś się wykombinuje... Obiad pan jadł?

Skinął potakująco głową. Uczuł nagle takie ściskanie w gardle, że bał się mówić, bo wydało mu się, że, jak tylko usta otworzy, wnet się rozplące.

Nim doszli do domu, Stein, który był wesół i ożywiony, zdążył mu już naopowiadać mnóstwo rzeczy. W Bretanii żył, jak w raju — mało — jak w raju: tak tam było cudownie, że nawet malować mu się nie chciało. Kapał się trzy razy dziennie, a resztę czasu wylegiwał na piasku nad morzem. Do Paryża powrócił dopiero przedwczoraj rano; udało mu się szczęśliwie znaleźć od razu doskonałą pracownię i stosunkowo niedrogą.

— Zobacz pan, daleko lepsza od tamtej i wogóle cały dom jest przyzwoitszy. Te dwie warszawianki, które pan dziś u mnie pozna, obie malarki, bardzo sympatyczne dziewczyny. Jedna już była w Paryżu, druga pierwszy raz przyjechała teraz. Tataj! — krzyknął, zatrzymując się nagle przed bramą.

Weszli w długi, ciemny dziedziniec, zamknięty z jednej strony wysokim murem, obrosniętym bluszczem. Michalika owionął zatechły, wilgotny zapach ziemi, który wydał mu się niesłychanie rozkosznym i świeżym. Jeszcze kilka kroków i znaleźli się przed drzwiami pracowni Steina. Przez wielkie okno padała z zewnątrz na podwórce smuga światła, rzucając słaby blask na ciemną gęstwę liści jakiegoś klombu.

— Mieszka pan, jak w ogrodzie — zdziwił się Michalik.

— Właż pan...

Pchnął drzwi i od progu począł się kłaniać, szurgając zamasyście nogami. Dwie młode kobiety, które siedziały przy stoliku pośrodku pracowni, odwróciły się ku niemu ciekawie.

— Jeszcze jednego gościa przyprowadzam na dzisiejszy bal! — krzyknął Stein. — Kolega Michalik — przedstawiał bojowca, ciągnąc go za rękę na środek pracowni. — Ten sam, o którym paniom opowiadałem.

— Aa...

Jedna z panien, wyższa i przystojniejsza, uścisnęła Michalika bardzo mocno za rękę, druga ledwo dotknęła palcami jego dłoni. W ten sposób obie zaraz na wstępie zaznaczyły swój stosunek do ruchu wolnościowego.

Starsza — Michalikowi wydało się, że ta, która przywitała się z nim życzliwiej, była starsza — poczęła go od razu indagować:

— Pan dawno w Paryżu?

— Niedługo rok już będzie...

— Hm...

Zmarszczyła brwi, jakby szukając myślą czegoś w pamięci.

— W Warszawie nie nowego... wieszają. A wogóle nastrój w mieście strasznie podły... maszą pana dochodzić wieści. Reakcyja we wszystkich sferach życia. I co najsmutniejsze, że ci, którym, zdawało się, płomień jakiejś myśli zaczynał rozpalać mózgi, zapadli znów w poprzednią apatyę. Ma się rozumieć, odbija się to dodatnio na ożywieniu miasta — zakończyła z gorzkim uśmiechem.

— No, a jakież panowie tu na emigracyi macie nadzieje? — dodała po chwili, mierząc Michalika uroczystem spojrzeniem.

Uśmiechnął się głupekowato. Jedyna odpowiedź, jaka nasuwała mu się do głowy, była brutalna w formie i wnet po niej wyrzucono go za drzwi. Wybawiła go, na szczęście,

z kłopotu druga z panien, rumiana, zdrowa blondynka z niesłychanie wesołemi, niebieskimi oczami. Odezwała się, krzywiąc niecierpliwie usta:

— Moja Julia, tylko się w politykę nie wdawaj. Tyle jest ciekawszych rzeczy na świecie... nieprawda, panie?

— Prawda — roześmiał się wesoło Michalik, któremu to powiedzenie bardzo szczerze przypadło do gustu.

Zaraz jednak, nie chcąc być niegrzecznym, odwrócił się ku wyższej pannie:

— Na emigracyi... na emigracyi — jąkał się, nie wiedząc, co dalej mówić.

— Refleks tego, co się w kraju dzieje — poddała mu myśl, uśmiechając się porozumiewawczo.

— Tak — potwierdził grobowym tonem.

I spostrzegłszy, że Stein zabiera się do odkorkowywania butelek z winem, poskoczył, aby go wyręczyć i wykręcić się od dalszej rozmowy. Malarz pełnił z przejęciem rolę gościnnego gospodarza domu. Wytarł rękawem, oderwanym od jakiejś starej marynarki, stół, rozpostarł na nim arkusz szarego papieru i na papierze porozkładał symetrycznie wszystkie prowianty. Było tego takie mnóstwo, że obie panny poczęły głośno oburzać się i protestować.

— Zje się jakoś — uspokajał je Stein. —

A pani, panno Julia — zwrócił się do wysokiej brunetki, — przyniosła to, o co panią prosiłem?

— A jakże.

Pobiegła w kąt pracowni, gdzie wisały palta, przewieszane przez poręcz schodków, wiodących na antresolę, i wróciła po chwili z niewielką paczką, owiniętą w starą gazetę. Były to noże i widelec.

— Prawdziwe srebro! — roześmiał się Stein.

Michalik podniósł jeden nóż ku lampie, szukając na rękojeści próby, potem zważył wszystko w ręce i odezwał się z akcentem szczerzego uznania:

— Ze dwadzieścia frankówby dali.

— Ja, jak mi tylko w Paryżu pieniędzy zabraknie, to od razu pójde do lombardu rzeczy zastawiać! — parsknęła śmiechem wesoła blondynka. — To musi być bardzo zabawne!

— Phi—mruknął Michalik, w którym rozrywki tego rodzaju budziły już pewien przesyt.

— Pan nie lubi cygańskiego życia?

Krzętałi się wszyscy dookoła stołu, czyniąc ostatnie przygotowania do kolacyi. Ponieważ lampa niedostatecznie oświetlała pracownię, więc Stein zapalił jeszcze dwie świece i ustawił je w butelkach na etażerze.

— Nie, nie, nie... trzy światła! Na to nie

pozwolę! — poczęła krzyczeć blondynka, trzepocząc rękami.

Towarzyszka jej uśmiechnęła się ironicznie.

— Heła, jak ci nie wstyd wierzyć w takie przesady!

— Wierzę. Przesady mają w sobie poezyę naiwnej, pierwotnej wiary.

— Nie cierpię kultury. Jestem już nią przemęczona — tłumaczyła Michalikowi. — Rozumie pan to stanowisko intelektualne?

Pojął najzupełniej. Ponieważ z jedną świecą było za ciemno, a Stein trzeciej nie miał, Michalik pobiegł na ulicę, żeby jeszcze świec kapić.

Gdy wrócił, zastał nowych gości w pracowni. Para młodzieńców i starego malarza, który siedział na uboczu, nie biorąc udziału w ogólnej, ożywionej rozmowie.

W ciemnym kącie pokoju sylweta starego rysowała się niewyraźnie, czyniąc go podobniejszym do widma, niż do człowieka.

Takie też niemiłe wrażenie wywarł na Michalika. Wydało mu się, że to upiór, który wyrósł nagle z mroku, aby mu przypominać rzeczywistość. Ale wesoły gwar, jaki panował w pracowni, zataił odrazu to przelotne wrażenie.

Bojowiec zbliżył się do starego z wesołym uśmiechem:

— Cóż pan tak w kącie siedzi?

Siwy malarz nie odpowiedział nic na to pytanie. Podał mu rękę bardzo oziębłą i wogóle zachował się tak, jakgdyby Michalika widział po raz pierwszy w życiu i dziwił się jego natręctwu.

Warjat — pomyślał Michalik i powrócił do stołu, przy którym zgrupowała się reszta towarzystwa.

Stein podsunął mu szklankę wina.

— Niech pan pije.

Zgłodniały był i jak wilk rzucił się na jedzenie. Krzyżowały mu się w uszach fragmenty chaotycznej, urywanej rozmowy. Stein opowiadał o Bretanii. Jasnowłosa malarka, której na imię była Hela, dowodziła, że dusza człowieka współczesnego, w kulturze chrześcijańskiej już nie może znaleźć odrodzenia. Michalik sam się nie odzywał, nie słuchał nawet nieczylich wywodów uważnie, ale jakieś niewypowiedziane rozkoszne uczucie rozplątało mu się po duszy. I bażył tylko, aby szklanki były pełne. Rozentuzjasmowany nosił nawet wino staremu malarzowi, który nie ruszał się z miejsca i siedział w swoim kącie, jakby przykuty do ściany. Automatycznie brał z rąk Michalika szklanki, nie dziękując mu nawet skinieniem głowy za ten dowód pamięci, wychylał je w milezeniu i stawiał na podłodze przy krześle. Z każdą chwilą coraz

gwarniej stawało się w pracowni. Michalik odciągnął Steina na bok.

— Skoczę jeszcze po wino, póki otwarte.

— Leć pan.

Tak w nim nagle wezbrało uczucie serdecznej przyjaźni dla malarza, że chwycił Steina wpół i począł go obcałowywać. Stein śmiał się: Oho, już pan wstawiony. Ale zaraz pociągnął Michalika do stołu:

— Dobry chłop jesteś, tym, co zostało jeszcze, wypijmy na *ty*.

Po chwili Michalik zadyszany i zżajany, bo biegł tam i z powrotem — przyniósł wino i znów zaczął nalewać. Rozmowa ze szczytów myśli ludzkiej opadła ku bardziej poziomym tematom. Mówiono o zimie paryskiej i o różnych systemach żelaznych pieców. Na tem znał się doskonale, wpadł w zapał, dowodził wymachując rękami.

Jedna z pań zerwała się nagle z krzesła:

— Jezus Marja— to już wpół do drugiej.

Michalik zastąpił jej drogę, składając błagalnie ręce.

— Nie, nie, niech panie nie uciekają!

VI.



urajnąę się, weźmy dorożkę —
jęknął Stein.

Michalik myślał o tem od kwadransa i tylko przez delikatność się nie odzywał. Sam nieludzko zmęczony, ledwo na nogach się trzymał, a w dodatku musiał jeszcze ciągnąć za sobą malarza, który awiesił mu się całym ciężarem na ramieniu. Wracali na Montmartre, odprowadziwszy obie panny do domu. Ale Julia i Hela mieszkały na drugim krańcu Paryża—o dobrą milę od pracowni Steina, — więc już na to, żeby z powrotem iść piechotą, nie starczyło im siły.

— Ale gdzie tu dorożkę znaleźć? — westchnął Michalik, oglądając się poza siebie.

— Nad rzeką będą.

Powlekli się w milczeniu dalej pustemi i głuchemi ulicami. Po chwili Stein szarpnął niecierpliwie Michalika za rękę.

— Nie leć-że tak...

Michalik, pomimo zmęczenia, wciąż przyspieszał kroku. Chciał już jak najprędzej znaleźć się po drugiej stronie Sekwany, jak najdalej od tej dzielnicy, która obrzydła mu do ostatecznych granic i przejmowała nieokreślonym lękiem. Bał się przedewszystkiem, żeby kogo z kolegów nie spotkać. Mogli go zaczepić, krzyknąć za nim „szpicel“ i skompromitować przed Steinem — a wtedy jednoby mu już tylko zostawało: w łeb sobie strzelić.

I tak, odkąd wyszli z pracowni i ochłonął na powietrzu, prześladowała go ponura twoga, czy do Steina nie dojdą wieści o jego „kombinacjach“ z policją. Pocieszał się myślą, że w tych sferach, gdzie mogły o nim krążyć plotki, Stein znajomości nie posiadał i nawet unikał, żywiąc dla społeczników zasadniczą pogardę; dyabli jednak wiedzieli — mógł się przypadkowo z kim poznać. A przedewszystkiem mogło to dojść do obu malarek. Jedna bardzo gorąco zajmowała się ruchem rewolucyjnym. Przez całą drogę (z nią właśnie szedł, gdy je odprowadzali) wypytywała go o warszawskie przygody. Musiał je opowiadać, udając ożywienie, choć naprawdę te wspomnienia już tylko niewypowiedziany wstręt w nim budziły.

— Nie ma ścierwo nie lepszego do robo-

ty, to się i dopytuje — przeklął w myśli wysoką pannę.

Czuł do niej żal za tę ciekawość, żal tem większy, że w ogóle podobała mu się i wydała bardzo sympatyczną.

— Tej wyższej to na imię Jula? — zwrócił się po chwili do Steina.

— Tak, bogata panna.

— Ona chce mnie malować...

Rzeczywiście, już przed samym domem, kiedy się mieli rozchodzić, zwróciła się do niego niespodziewanie z prośbą, żeby jej pozował do portretu. Ucieszyło go to w pierwszej chwili i przyrzekł, oczywiście, ale wnet potem, po namyśle, perspektywa owego pozowania wydała mu się znacznie mniej pożądaną, ile że pociągało to za sobą konieczność pokazywania się w tych stronach miasta, których, ze względu i na kolegów, i na francuską policję — postanowił za wszelką cenę unikać.

— Kiedyż zaczniesz jej pozować? — dopytywał się Stein.

— II... ja myślę, jakby się wykręcić.

— Waryat...

— Co mi po portrecie! Gdzie go będę wieszał?... Chyba na jednym stryeczku ze sobą.

— Tu nie o portret chodzi. Portret będzie pod psem, z góry cię mogę zapewnić.

Ale widocznie podobałeś jej się... Weź się ostro do rzeczy. Kto wie, co z tego może wynikać — śmiał się rozradowany. Juleczka ma pieniądze... Pomyśl tylko... Gdybyś się tak z nią ożenił, tobyś dopiero szyku po Paryżu zadawał, co? A ona może na ciebie polecieć... Bojowiec, to ma zawsze swój romantyczny urok... pachnie krwią, kobiety to labią.

Przechodzili koło posterunku policyjnego. Michalikowi mignęła w oczach czerwona latarnia, przez otwarte drzwi zobaczył przelotem wewnątrz mdło oświetlonej sali, w której para żołnierzy drzemało na ławkach. I na tle tego obrazu, który uprzytomnił mu nagle całą jego bezdomną nędzę, słowa Steina wydały mu się bezlitosnem szyderstwem. Westchnął ciężko...

— Nie kpij!

— Cóż cię taka melancholia zdjęła.

— Ot, jak człowiek pomyśli...

Stein, który pod wpływem wina stawał się zawsze apostołem silnej woli i energii, druzgoczącej wszystkie przeszkody, począł go pocieszać.

Wielka rzecz nędza! Najcięższą nędzę można przetrwać, byle tylko nie upadać na ducha. Oczywiście bez pieniędzy przykro, ale to wyrabia hart. Wstrętnym ostatecznie jest tylko przeciwny, burżuazyjny dobrobyt. Krańce — nędza i bogactwo mają tę wspólną cechę,

że pozwalają żyć kolorowo, po za filisterskimi normami.

— Ale co ja mam robić? — westchnął Michalik.

— Mój kochany — krzyknął Stein z akcentem lekkiego oburzenia w głosie, — w takim mieście, jak Paryż!...

Ale nie dokończył zdania. Przerwał mu je turkot dorożki, która wyjechała gdzieś z bocznej ulicy i wlokła się powoli o kilkadziesiąt kroków za nimi. Zawrócili więc ku niej i Stein skinął na woźnicę. Dopiero, gdy wsiedli, odezwał się ze smutkiem.

— Szkoda, że ty nie masz jakiego talentu do malarstwa, albo do literatury. Zawsze byłoby ci łatwiej w życiu.

Michalik zacisnął zęby, żeby mu nie odpowiedzieć jakim ordynarnym przekleństwem. Ze wszystkiego, co mówił Stein, przebijało nieudawane współczucie—czuć było, że mówił to ze szczerego serca. Ale jego słowa drażniły i denerwowały Michalika do tego stopnia, że w końcu z nienawiścią już prawie począł spoglądać na malarza. Rad był, że Stein zmęczony zasnął w dorożce i już się nie odzywał. Michalik wtulił się w kąt, patrzył bezmyślnym wzrokiem na latarnie, które przesuwały mu się przed oczami—i z dziwną goryczą, która nieomal że aż rozkosz mu sprawiała, myślał o różnicy pomiędzy nim a Stei-

nem. Pierwszy raz w życiu tak jaskrawo, tak niesłychanie wyraziście zarysowało mu się w mózgu poczucie tej różnicy i aż śmiechem parsknął na myśl, że mógł się kiedyś choć przez mgnienie oka uważać za przyjaciela Steina. Doróżka wjechała w ulicę, przylegając do Hal. Wzdłuż chodników stały szeregiem ładowne wozy, na bruku pod ścianami domów, pokurezeni w najdziwaczniejszych pozach, spali ludzie, jaęcy włóczędzy nocni, wyczekujący pierwszych brzasków świta.

— Żebyś ty się tak raz przespał, draniu, tobyś zrozumiał, co to jest nędza — pomyślał Michalik, spoglądając z pogardą na Steina.

Blask lamp elektrycznych i gwar na wielkim placu targowym zbudziły malarza. Wyprostował się i przetarł oczy.

— O, jak zapachniało wsią!

— Tu w halach można nieźle zarobić — dodał po chwili. Michalik roześmiał się ironicznie. Już miał na ustach „zarób, kiedyś mądry“. Nie powiedział tego, nie chcąc się Steinowi narażać, ale gorycz piekła mu daszę, jak ogień.

VII.



Michalik zachwycony był nową pracownią Steina, bardziej, niż sam właściciel. Wszystko mu się podobało: dom, podwórze, ulica. Dom wysoki, poczer-
niały od starości, z okiennicami, z których deszcze zmyły farbę, ujął go za serce poczer-
ciwym, staroświeckim wyglądem; długi dzied-
ziniec, z murem, obrośniętym blaszczem,
paru drzewami i klombami zieleni, bardziej
przypominał ogród, niż podwórze; alezka
była cicha i miała jedno tylko wyjście na ka-
mienne schody, które biegły stromo ku górze
i ginęły w gąszczu drzew niewielkiego skwe-
ra. Ten ustronny i podmiejski charakter no-
wej siedziby dał Michalikowi rozkoszne wra-
żenie takiego właśnie zacisznego kąta, o ja-
kim marzył zawsze, żeby się ukryć przed
ludźmi. Odrazu też zaczęło mu się wieść le-

piej. Stein zaprotegował go paru znajomym kolegom, i Michalik, pozując im do malowania, zaczął zarabiać. Dodało mu to nowej energii do życia i wracał powoli do równowagi duchowej. Przedewszystkiem pogodził się w myślach ze Steinem, wstyd mu nawet było wybuchu przelotnej nienawiści do malarza. Stein postępował względem niego niesłychanie po koleżeńsku, i Michalik nabrał zaufania, że gdyby nawet do Steina doszły kiedy plotki o jego „kombinacyach“ z policją, to malarz odczuł i zrozumiałby wszystko, co się działo w jego znękaney duszy i usprawiedliwiłby go zupełnie. Stein w rozmowach z nim nieraz wyśmiewał się z ludzi, którym, jak powiadał, przekonania zagważdżały mózgi, i tłumaczył Michalikowi, że w życiu należy się zawsze jednym tylko względem kierować — mianowicie: czy coś jest piękne, czy nie. Michalik słuchał jego słów z zapartym od radości oddechem, zdawało mu się, że budzą mu one w duszy błyski jakiegoś nowego objawienia, które go uczyło, jak naprawdę myśleć o wszystkim należy. Sympatyę, jaką miał dla Steina, przeniósł na wszystkich malarzy i w myślach przeciwstawiał zawsze artystów dawnym swoim kolegom i towarzyszom partyjnym, których mógł nareszcie szczerze lekceważyć. Sam uważał się w duszy po części za artystę. Stein wypytywał go się cza-

sami szczegółowiej o prace kolegów i Michalik zwierzał mu się ze swych myśli, początkowo nieśmiało i z zastrzeżeniami, ale gdy mu malarz przyznał parę razy intuicyjne poczucie piękna, zaczął nabierać coraz większej pewności siebie i odważał się na własne krytyczne sądy. Ponauczał się od Steina najrozmaitszych specjalnych [zwrotów i powiedzeń i szafował nimi w rozmowie, czem nieraz doprowadzał przyjaciela do szalonych wybuchów wesołości. Ale go to nie zrażało. Używając tych tajemniczych słów, których znaczenia nigdy nie mógł pojąć dokładnie, porównywał zawsze w mózgu swe znawstwo sztuki z dziką ignorancją Kusego, Pehlarza i wszystkich dawnych przyjaciół. Sprawiało mu to niewysłowioną przyjemność. Czuł się wreszcie wyższym od nich wszystkich.

O tem, co się z nimi działo, pojęcia nie miał najmniejszego i nie ciekaw był się dowiadywać. Odkąd się przeniósł na Montmartre i zamieszkał u Steina, nie wychylał się weale poza nową dzielnicę. Złożyło się tak szczęśliwie, że młoda malarka, która miała zamiar robić jego portret, wyjechała na jakiś czas, korzystając z pięknej, wrześniowej pogody, do Normandyi, nad morze—nie go więc nie łączyło z dawnym „Paryżem“ po lewej stronie rzeki, o którym myślał ze wstrętem i zabobonną trwogą.

Tak minął cały miesiąc i Michalik czuł się prawie szczęśliwym. W nowych warunkach życia wspomnienie wszystkich strasznych przeżyć zatarło mu się już całkowicie w pamięci i miał wrażenie, że jednak naprawdę wszystko zmieniło się na dobre. Bał się przed sobą samym przyznać do tego uczucia, aby nie urzec losu. Ale robił wciąż w duszy najrozmaitsze plany na przyszłość. Opanowała go myśl wyjazdu do Ameryki i wciąż łamał sobie nad tem głowę, jakby zarobić pieniądze, potrzebne na podróż. Nie mogąc nic realnego wymyśleć, pocieszał się nadzieją, że okoliczności same się jakoś tak ułożą, że będzie mógł plan swój urzeczywistnić. Przez cały ten miesiąc żyli obaj bardzo regularnie i skromnie. Stein całymi dniami gorączkowo pracował. Miewał on okresy niezwyklej pracowitości, podczas których malował od świtu do zmierzchu, nie wychodząc prawie z domu. Michalikowi seanse u malarzy, którym pozostawał, zajmowały czas do czwartej po południu, ale, aby nie przeszkadzać przyjacielowi, nie wracał nigdy do pracowni przed zmierzchem. Załatwiwszy się ze swojemi zajęciami, chodził zwykle na sam szczyt Montmartre, siadał na ławce na małym skwerze i stamtąd patrzył na Paryż. Olbrzymie miasto rozpływało mu się przed oczami we wszystkie strony, aż po same krańce horyzontu, niby jakaś masa sza-

rej, zastygłej lawy. W łagodnych, wrześnie-
wych mgłach, które słońce powlekało różową
pozłotą, ginęły kontury domów i cały obraz
zlewał się w szarą, jednolitą płaszczyznę,
wśród której tu i owdzie paliły się w oddali
oślepiającym blaskiem jakieś srebrne światła.
Widok ten budził w duszy Michalika dziwne,
niepochwytnie dla myśli uczucia: zdawało mu
się, że wszystko tam w dole było tylko snem.
I minęło, jak sen.

Pewnego dnia, kiedy tak siedział zapa-
trzony na Paryż, uwagę jego zwróciła nagle
postać młodej kobiety, która ukazała się nie-
spodziewanie na skwerze, i rozejrzawszy się
dookoła, jak gdyby kogoś szukając, usiadła po
chwilowem wahaniu obok niego na ławce.
Michalika owionął odrazu i podrażnił ostry
zapach perfum. Nieznacznie, aby jej nie spło-
szyć, począł przyglądać się swej nieznajomej
sąsiadce. Podobała mu się bardzo—była wy-
soka, szczupła brunetka, o włosach tak czar-
nych, że aż wpadały w granatowy odcień.
Miała duże, czarne oczy i niesłychanie zmy-
słowe, grube wargi, które odbijały jaskrawo
od matowo bladej cery jej twarzy. — „Pewno
hiszpanka“ — pomyślał Michalik, który nabrał
był w Paryżu pewnej wprawy w rozpoznawa-
niu narodowości. Mimo, że cała ławka była
wolna, nieznajoma usiadła tuż obok niego,
tak, że wyczuwał niemal ciepło jej ciała. De-

nerwowało go to. Oglądał bacznie od stóp do głów sąsiadkę, nie wiedząc, do jakiej kategorii kobiet ją zaliczyć. Wydało mu się podejrzanem, że tak blisko niego usiadła, ale poza tem całe zachowanie się jej było skromne i dystygowane. Raz, gdy się spojrzenia ich przypadkowo spotkały, wydało się Michalikowi, że w oczach nieznanym się zatlił się przelotny uśmiech. Uśmiechnął się więc sam, ale ona odwróciła wtedy szybko głowę. — „Kokietka, ścierwo!“ — pomyślał rozezłony trochę Michalik i postanowił ją zaczepić. Z kilkudziesięciu słów francuskich, które umiał, począł układać w myśli frazesy; nim jednak do połowy dojechał, nieznaną podniosła się z ławki i odeszła, rzuciwszy mu na pożegnanie tak zalotne spojrzenie, że aż poczerwieniał.

To spojrzenie wytrąciło go najzupełniej z łagodnej równowagi ducha, w jakiej żył od miesiąca. Powrócił do domu zmęczony, rozleniwiony i trochę zły na siebie samego, gdyż wydawało mu się, że hiszpanka — takim mianem ochrzcił ją już w myśli — pragnęła zawrzeć z nim znajomość, a on przez niedoświadczenie i głupotę nie wykorzystał szczęśliwej okazji. Spadła mu na duszę gorąca tęsknota miłosna i obraz tajemniczej sąsiadki ze skweru nie dawał spokoju. Wciąż majaczyła mu się przed oczami, wciąż o niej myślał i po-

cieszał się nadzieją, że może i nazajutrz ją spotka. Zerwał się skoro świt i przez cały dzień żył gorączkowym wyczekiwaniem, które mu dłużyło w nieskończoność godziny. O czwartej pobiegł na Montmartre. Usiadł na ławce i z zapartym oddechem począł się rozglądać dookoła, ale na skwerze było pusto, tylko jakaś niańka z dziećmi siedziała na sąsiedniej ławce. Minął kwadrans, pół godziny. Michalik począł tracić nadzieję i prawie rozpacz go zdejmowała, bo w rozgorączkowanej imaginacyi przeżywał już romans.

Nagle drgnął — o kilkadziesiąt kroków przed nim, na zakręcie małej alei, ukazała się niespodziewanie wysmukła, czarna sylweta nieznamomej.

Znów, jak wczoraj, usiadła tuż obok niego na ławce, może bliżej nawet jeszcze, gdyż opierali się prawie o siebie. Michalik znów począł układać w myśli francuski frazes, ale gdy mu to szło niesporo, postanowił zawiązać rozmowę zwyczajnem „bonjour“. Dziwne wzruszenie tak go ścisnęło za gardło, że i tego wyrazu wykrztusić nie mógł. Wreszcie zdobył się na odwagę.

— Bonjour!

Sąsiadka zmierzyła go przeciągłym spojrzeniem i parsknęła wesołym śmiechem. Wesołość jej udzieliła się i Michalikowi. Patrzyli na siebie i śmieli się, zanosili się od śmiechu.

Gdy po kilku chwilach wreszcie uspokoili się oboje, pierwsze lody były przełamane. Poczuwając się do obowiązku jakiejś prezentacyi, Michalik przytknął wskazujący palec do piersi.

— Polonais.

Czarna piękność spojrzała na niego ze zdziwieniem, i bojowicie domyślił się, że nie bardzo pojęła o co mu chodzi. Przywołując na pamięć całą swą znajomość francuszczyzny, począł stylizować nowe zdanie. Wystuchała go z uwagą, ale widocznem było, że nie rozumiała ani jednego wyrazu z całego przemówienia.

— Habla espanol? — krzyknął uradowany, przypominając sobie hiszpańskie wyrazy, które zdarzało mu się czytywać niejednokrotnie na szybach sklepowych. Poruszyła przecząco głową. Do tego gestu dodała parę słów w dziwnym jakimś języku, którego Michalik nie umiał nawet nazwać. Stracił nadzieję, aby się mogli porozumieć.

Zbiło go to nieco z tropu. Po chwili raz jeszcze odezwał się na nowo próbując szczęścia:

— Parlez vous français?

— Non!

I znów oboje wybuchnęli śmiechem. Michalik, ośmielony, ujął sąsiadkę za rękę. Nie bronila mu tego dotknięcia. Począł głaskać ją po dłoni, starając się wzrokiem wyrażać

te wszystkie myśli i uczucia, których nie mógł wypowiedzieć słowami. Rozejrzał się dookoła, czy kto na nich nie patrzy i szybko pocałował ją w rękę. Wyprostował się potem, aby tehu nabrać. Był zmęczony, pot dużemi kroplami spływał mu po czole.

— Że też my się rozmówić nie możemy!— westchnął głośno po polsku.

Odpowiedziała mu parę słów w swoim języku.

Michalik objął ją w pól, przytalił do siebie i siedzieli tak, przerywając od czasu do czasu przymusowe milczenie krótkimi wybuchami śmiechu. Czas biegł niepostrzeżenie. Zmierzch zapadł — w oddali ponad ciemną, zwartą masą domów zapłonęły wielkie, złote litery ogłoszeń. Łagodna, pełna słodyczy cisza spłynęła Michalikowi na duszę. Pierwszy raz, odkąd tułał się po Paryżu, zdarzyło mu się siedzieć tak u boku kobiety. I to przejmowało go niewypowiedzianem szczęściem.

Nieznajoma, usuwając go zlekka, podniosła się z ławki.

— Pani idzie?—krzyknął, przerażony, po polsku.

Dała mu ręką znak, aby szedł za nią.

VIII.



Próchrócił do domu koło północy dopiero. Obarzyło to Steina, który sam leżał już w łóóku i przywykł był zresztą od miesiąca, że Michalik skromnie przepędzał wieczory w domu.

— Gdzieóes ty się włóczył?

— Spotkałem znajomego i siedzieliómy w kawiarni—skłamał.

Postanowił zachować przygodę swoją w tajemnicy, pod wpływem zabobonnej trwogi, óe, gdy ją opowie, urzeknie szezóście. Był oszółomiony i rozmarzony tem, co się stało.

— Jest list do ciebie—odezwał się po chwili Stein.

— Do mnie?

— Leży na stole.

Podszedł do stołu, zdumiony niemile tą wiadomością. Kto go, a dyabła, tu odnalazł

i czego mogli od niego chcieć? Ale spojrzawszy na kopertę z eleganckiego, angielskiego papieru, domyślił się od razu, że list był od malarki, której obiecał pozować do portretu. Rozdarł szybko kopertę i czytał głośno:

— „Szanowny Panie! Wypocząwszy nad oceanem, powróciłam do Paryża i przypominam mu jego obietnicę pozowania do portretu. Jeśli łaska, proszę jutro do mnie o piątej, jeśli godzina panu konweniuje. Liczę zatem napewno. Miły uścisk dłoni załączam. Życzliwa Julia Winowska“.

— Leci na ciebie!—roześmiał się Stein.

— Psiakrew!—mruknął Michalik.—Jak to pachnie!—dodał po chwili, podsuwając kopertę malarzowi pod sam nos.

— Pójdiesz?

— Daleko!—odparł, krzywiąc się.—Żeby to raz, ale codzień na drugi koniec miasta się włóczyć.

— Proszę, jaki pan!—roześmiał się sztyderezo malarz.—Cheesz, żeby jeszcze może automobil po ciebie przysłała.

— Nie!—odparł żywo Michalik i smilkł, czując, że na to, aby Stein mógł odczuć i zrozumieć rzeczywistą przyczynę jego niechęci, musiałby mu opowiedzieć wszystko. Wahał się przez chwilę, na szczęście jednak Stein, który był śpiący, nie miał chęci na dłuższe rozmowy.

— Zabierz — no stąd lampę i kładź się spać — odezwał się, odwracając się twarzą do ściany.

Michalik przeniósł lampę w róg pracowni, ustawił ją na starej pace od węgla i zasłonił sztalugami, żeby nie świeciła na pokój. Był to jego zwykły kąpiel, w którym siadywał wieczorami, kiedy malarz już spał. Wyciągnął z kieszeni list od panny Winowskiej i przeczytał go po raz drugi.

— Hm! — mraknął, parszkając cichym śmiechem.

Wydało mu się niesłychanie zabawnem, że dziś właśnie ten list dostał. — „Z kobietami to tak zawsze — myślał: — jak niema, to niema, a potem, jak się człowieka czepią, to się opędzić od nich nie można.“ Stein kilkakrotnie powtarzał mu w żartach, że malarka „leci na niego“; nie zwracał na to najmniejszej uwagi i nawet żal miał raczej do przyjaciela za kpiny. Ale teraz przypuszczenie, że zawrócił trochę głowę pannie Winowskiej, wydało mu się nie tylko możliwem, ale nawet pewnem zupełnie. Inaczej nie pisałaby listu. Zmarszczył brwi, starając się wywołać w pamięci jaknajdokładniejszy jej obraz. I uczuł nagle jakby rodzaj skruchy w duszy. Wrócił myślami do tej tajemniczej, nieznanym kochanki, której pieszczoty tliły mu się jeszcze we krwi. Takie to było dziwne, niepodobne do wiary, że gdy-

by Michalikowi opowiadano coś podobnego, nigdyby w życiu nie wierzył. Zupełnie jak w romansie. Ze skwera zaprowadziła go do siebie. Miała prześliczne mieszkanie, dwa pokoje na drugim piętrze, które olśniły Michalika przepychem. „Psiakrew, żeby to się tak dogadać jeszcze można!” — myślał markotny, bo do zupełnego szczęścia brakło mu tylko jeszcze możności porozumiewania się z tą cudną istotą, w której był już rozkochany całą od lat tłumioną siłą serca. Nie wystarczały mu zmysłowe pieszczoty. W duszy, rozkołysanej miłością, zbudziło się nagle pełne tęsknoty pragnienie jakiejś długiej, serdecznej skargi. Zdawało mu się, że z każdym słowem, któreby mógł wypowiedzieć, spływałoby trochę tego bólu i goryczy, które, jak brudny osad, ciążyły mu na myślach.

Zgasił lampę, położył się na pościeli, ale nie mógł zasnąć. Przez szklany dach pracowni widać było niebo, usiane wielkimi, błyszczącymi gwiazdami. Przypomniała mu się ta noc, kiedy pijany obudził się w trawie za miastem, i zdjął go nagle niewypowiedziany podziw dla życia.

— Psiakrew, jak to się wszystko dziwacznie składa! — westchnął.

Po chwili zatarł wesoło ręce:

— Teraz już będzie dobrze.

Snuła mu się w marzeniach tęczowa bajka o spokojnej przyszłości. Przedewszystkiem nauczy się tego jakiegoś języka — oczywiście, jak się wziąć ostro do roboty, wszystkiego nauczyć się można, a potem pojedą razem do Ameryki. Nędza i wszystkie przejsia napełniły go taką nienawiścią do Paryża, że marzył tylko o tem, aby jaknajprędzej z niego uciec. I tylko do Ameryki. Dźwięk wyrazu „Ameryka“ budził w nim chaotyczny obraz olbrzymich rzek, lasów, stepów, łączący się z pojęciem nieograniczonej swobody.

Nazajutrz rano Stein znów mu przypomniał wizytę u panny Winowskiej.

— Pójdiesz do Juli?

— Pójdę! — odparł, nie chcąc wdawać się w dłuższe rozmowy na ten temat.

Ale, oczywiście, ani mu się nie śniło, aby iść. Umówił się ze swoją cyganką (tak ją począł pieszczotliwie w myślach nazywać), że się o czwartej spotkają znów na tem samym miejscu na skwerze. I Stein rozezlił go nawet trochę tem swoim przypominaniem panny Winowskiej. Co mu mogło zależeć na tem, czy on pójdzie do niej, czy nie?... Drażniło to Michalika tem bardziej, że w głębi duszy czuł lekki żal, że nie można było połączyć schadzki z cyganką z wizytą u malarki. Bo co okazy, to okazy. Po namyśle postano-

wił zająć do Juli o drugiej, tak żeby o czwartej mógł być z powrotem na Montmartre.

— Weź moje ubranie! — odezwał się nagle Stein.

Uradowany, spojrzął z wdzięcznością na malarza.

Przebrał się pośpiesznie i wyszedł zaraz z domu. Miał przed sobą szereg godzin niesłychanie denerwującego wyczekiwania i nie wiedział, czem ten czas zabić. Obowiązkowe pozowania, które zwykle zajmowały mu pół dnia, postanowił dzisiaj opuścić. Ogarnęło go dziwne rozleniwienie. Walczył przez chwilę z nieokreślonym uczuciem, które kazało mu uprzedzić przynajmniej malarzy, że nie przyjdzie, ale ostatecznie postanowił nie zawiadomić ich wcale. — „Powieм jutro, żeм był chory; przecież mogę raz zachorować“ — usprawiedliwił się przed samym sobą. I wałęsał się po ulicach, licząc chwile.

Przed drugą wybrał się do panny Winowskiej. Pierwszy raz od miesiąca przeszło wydał się poza granice Montmartre. Widok znienawidzonych ulic podzielał na niego przynębiająco. Szedł coraz wolniej, ociągając się. Nad rzeką wreszcie ogarnęła go taka zabobonna trwoga, że zatrzymał się niezdecydowany, nie mogąc się odważyć na przejście mostu. Wydało mu się, że skoro tam wróci

do tych zapowietrzonych kątów, wnet spotka go jakieś nieszczęście.

Ale trwało to chwilę. Szybko otrząsnął się ze zdenerwowania.

— Głupi jestem — rozumował. — Wszystko zmieniło się na dobre.

Spotkał go jednak zawód, który mu pokrzyżował plany: nie zastał Jali w domu. Przez godzinę wyczekiwał na nią na schodach; później, obawiając się, aby się nie spóźnił na schadzkę na Montmartre, napisał kartkę i zostawił u odźwiernej. Tłumaczył się, że o piątej po południu nie ma czasu, i obiecywał przyjść nazajutrz rano. Dlatego należało oczywiście i nazajutrz pozwania opuścić — przemknęło mu przez myśl, że gdy tak dzień i drugi nie przyjdzie, to sobie jego malarze innych modeli poszukają, ale wizyta u panny Winowskiej wydała mu się narazie ważniejszą, niż wszystkie zarobki.

Uczuł nawet lekceważenie dla tej pracy, która do niedawna wydawała mu się błogosławieństwem losów.

— Jak błazen, musi człowiek dla paru franków sterczeć! — oburzył się w myśli. — Wolę sobie co innego znaleźć.

I wesół, że już wreszcie ze spokojnem sercem może na Montmartre wrócić, wybiegł na ulicę. Ale ledwo kilkanaście kroków uszedł, ujrzał nagle przed sobą Kusego.

Zmieszało go to spotkanie strasznie. Skręcił do bramy, chcąc przeczekać tam, aż się Kusy oddali.

Kusy zauważył go jednak i wsunął się do bramy za nim.

W milezeniu mierzyli się przez chwilę wzrokiem.

— Dobrze się wam powodzi—syknął wreszcie Kusy, uśmiechając się jadownicie.

Michalik poczerwieniał. Był ubrany w elegancki garnitur Steina i zrozumiał ironię Kusyego. Garbaty rewolucyonista musiał sobie oczywiście inaczej, po swojemu, jego szykowny wygląd tłumaczyć.

— Dyabli ei, drania, do tego, jak mi się powodzi! — odezwał się zduszonym od złości głosem.

— Ho, ho!... — zapiszczał Kusy — tak ostro!

Michalika oszołomiła jego bezczelność. Sparaliżowała go zupełnie. Zamiast się rzucić na Kusyego, od którego był sam dziesięć razy silniejszy, stał, jak ogłupiały.

— Czego chcecie? — wykrztusił wreszcie.

— Ja nie. Moje uszanowanie! — odparł Kusy, zawracając na ulicę.

Michalik przez długi czas nie mógł ochło-

nąć ze zdenerwowania. Trząś się, jak w fe-
brze. — „A! złodziej!“ — klął w myśli kolegę.
Zły, pełen posępnych myśli, powlókł się z po-
wrotem na Montmartre. To spotkanie upa-
dło, jak cień, na jego jasne szczęście.

IX.



inęło parę dni.

Życie Michalika ułożyło się nowym trybem i płynęło regularnie. Spędzał popołudnia u swej ukochanej, o której zdołał wreszcie dowiedzieć się paru szczegółów. Była greczynką i w Paryżu mieszkała od miesiąca dopiero. Rozmawiali ze sobą przeważnie na migi, bo żadne nie znało na tyle francuskiego języka, aby móżdżek całe zdanie sklecić. I to po paru dniach poczęło Michalika, który był w głębi duszy bardzo sentymentalny, zrażać do kochanki. Męczyła go ta czysto zmysłowa miłość i miał żal do losu za to nowe, wyraźne szyderstwo. Zdawało mu się, że jedyną istotą w całym Paryżu, która go zdolna była odezwać i ukoić jego rozgoryczenie jakimiś dobrymi słowami, była ta

greczynka właśnie, ale z nią nie mógł się rozmówić.

I z coraz większem utęsknieniem wracał myślami do panny Winowskiej. Ona teraz w roz tęsknionej wyobraźni przedstawiała mu się, jako wymarzona kobieta, przy której mógł być znaleźć wypoczynek dla zmęczonej duszy. Wybierał się codziennie, aby pójść do niej, ale z dnia na dzień tę wizytę odkładał, obezwładniony dziwną, ciężką, apatją, która go znów ogarnęła. Nie chciał się pokazywać w dawnej dzielnicy, bojąc się spotkania z towarzyszami. Zastraszyl go Kusy. Czuł, że, kryjąc się przed nimi, naraża się sam na najgorsze plotki, — na to jednak, aby się z nimi widywać, tłómaczyć, usprawiedliwiać, brakło mu nerwowej siły.

— Niech sobie gadają, co chcą — powtarzał z bolesną jakąś rezygnacją.

Pewnego dnia ogarnęło go takie zniechęcenie, że nie poszedł na schadzke. Wprost o czwartej powrócił do domu. Zastał niespodziewanie obie malarki, które przyszły w odwiedziny do Steina.

Uderzyła go odrazu dziwna zmiana w usposobieniu wszystkich. Przywitali się z nim bardzo zimno.

Rozmowa umilkła. Obie panny, jakby zmieszane, unikały jego wzroku. Sądził, że Julia jest na niego obrażona za to, że zbyt

lekcważąco jej prośbę. Podszedł ku niej i począł ją serdecznie przeproszać.

— Nie składało mi się—tłomaczył się pokornym głosem; — jutro na pewno przyjdę.

— Jutro nie będę miała czasu,—przerwała mu chłodno.

— A kiedy? — podchwycił gorączkowo.

— Teraz przez dłuższy czas będę czem innym zajęta.

Odpowiedź ta, a zwłaszcza dziwny, pogardliwy ton głosu, zmieszały go. Poczerniał. Ze sztucznym uśmiechem spojrział na Steina, szukając w jego oczach jakiegoś życzliwego przebłyska, ale malarz zachmurzony odwrócił głowę.

— Masieli coś na mnie naszczekać — przyszło Michalikowi na myśl. Ucał dziwny chłód pod czaszką. Usiadł w kącie i rozśmieszyło go nagle zabawne pomieszanie wszystkich. Wydał irocznie usta.

Obie panny zabierały się już do odejścia. Zdaleka skinęły Michalikowi na pożegnanie głową. Stein wyszedł za nimi na podwórze i przez drzwi dolatywał Michalika szept przyciszonej, ożywionej rozmowy.

— Masieli coś na mnie naszczekać — mruknął. Po cichatku na palcach zbliżył się do drzwi, chcąc podsłuchać, o czem Stein z malarkami rozmawiał. Ale wszyscy troje odeszli już w głąb podwórza.

Po chwili malarz wrócił do pracowni. Był zły i zaszępioty. Kręcił się przez parę minut po pokoju, gwizdząc przez zęby melodyę jakiejś kabaretowej piosenki. Przekładał na stole książki, poprawiał płótna na sztalugach, i Michalik, który śledził bacznie każdy jego ruch, wyczuł odrazą, że te wszystkie ruchy były nieszczerze. Stein szykował się prosto, żeby mu coś niemiłego powiedzieć i będąc z natury miękkim i delikatnym, zwlekał, nie mogąc przewyciężyć nerwowego wstrętu, jaki musiała w nim budzić perspektywa takiej rozmowy. Michalik odgadł intaicyjnie usposobienie malarza i uśmiechnął się złośliwie.

— Nie śmie.

Spojrzał wyzywająco na Steina.

Malarz chrząknął, wsunął ręce w kieszenie i odezwał się, patrząc w sufit:

— Mój kochany... Jest rzecz taka... Tu do mnie przyjeżdża jeden znajomy... na parę dni. Będziesz więc musiał sobie gdzie indziej mieszkania poszukać...

Michalik roześmiał się ironicznie.

— Któż to przyjeżdża?

Widoczne onieśmienie Steina sprawiało mu dziwną jakąś przyjemność. Śmiał się, żeby mu pokazać, że nie wierzy wcale w ten urojony przyjazd przyjaciela. Znienawidził znów w jednej chwili malarza, jego zakłopotanie budziło w nim pogardę. — Panieczyk! —

pomyślał i uczuł gwałtowną chęć wywołania jakiejś brutalnej awantury.

— Ktoż to przyjeżdża — powtórzył.

Stein spojrział na niego żdziwiony. Drwiący ton Michalika zbyt był wyraźny, aby go malarz mógł nie odezuć. Zmieszał się.

— Nie znasz — odparł sucho.

— I długo tu będzie mieszkał? — dopytywał się Michalik, nie przestając się szyderezo uśmiechać.

— Owszem, dość długo...

Stein silił się na spokój. Ale był coraz bardziej zdenerwowany. Michalik zdawał sobie z tego sprawę, i to poczucie jego brutalnej wyższości nad delikatnym malarzem podsycało w nim głuchą nienawiść. Odezwał się wreszcie:

— Nikt nie przyjeżdża, tylko nagadali ci, że jestem szpielem.

Malarz nie odpowiedział.

— I ty nie miałeś nic lepszego do roboty, jak odrazu uwierzyć — cedził powoli Michalik, podnosząc się z krzesła.

Malarz skrzywił się dziwacznie, jak gdyby chciał coś powiedzieć, i wyrazy zastygły mu w gardle. W tym przelotnym momencie Michalik pojął, że gdyby tak, jak myślał nieraz, wszystko szczerze opowiedział Steinowi, tamten uwierzył by mu i stanął po jego stronie. Ale z jakąś rozpaczliwą, nienawistną

radością uświadomił sobie zaraz, że właśnie nie opowie, nie będzie się tłumaczył.

— Taki ty sam złodziej jesteś, jak i wszyscy! — warknął.

Stein zbladł. Stał, jak wryty, nie wiedząc w zdenerwowaniu, jak się zachować wobec tej obelgi.

— Jak szczeniębym cię zdusił! — ciągnął Michalik, wyciągając przed siebie rękę.

— Nie bój się! — parsknął śmiechem, widząc, że malarz instynktownie zasłania się krzesłem — nie będę z tobą wojował!

Splunął i wyszedł z pracowni z hałasem, zatrząskując za sobą drzwi.

X.



oszedłszy do zakrętu uliczki, Michalik zatrzymał się i spojrział w górę. Drzewa na skwerze wędły i zdawało się, że kamienne schody wiodą do jakiejś altany z czerwoných i złotych tkanin. Przystanął na chwilę, jakgdyby namyślając się, w którą stronę iść: w górę, czy w dół. W dole u stóp schodów otwierała się perspektywa dalekiej, ruchliwej ulicy. Machinalnie zawrócił w stronę tej ulicy.

Zdawało się, że przejście ze Steinem nie wywarło na nim najmniejszego wrażenia. Był spokojny, nawet wesół. Wspomnienie oburzonej i zarazem przestraszonej miny malarza budziło w nim złośliwą radość.

— Paniczyk! — śmiał się w duszy.

O tem, że nie miał znów dachu nad głową, nie myślał wcale. Do wieczora było jesz-

cze tak daleko! Wszystkie zresztą zwykłe troski, głód, brak mieszkania, wydawały mu się tak błahemi w tej chwili, że nie warto było nawet zastanawiać się nad niemi. Miał ważniejsze sprawy na głowie—wyjazd do Ameryki. Czuł, że ani chwili dłużej nie może zostawać w Paryżu—nie dlatego, aby się obawiał ludzi czy plotek, ale tak mu już miasto zbrzydło, że było to ponad siły.

— Zrobi się, pojedę — powtarzał z taką pewnością postanowienia, jak gdyby już miał pieniądze na drogę w kieszeni.

Rad był, że nie próbował nawet usprawiedliwiać się przed Steinem. Jakieś zupełnie nieznane, przyjemne uczucie rozplynęło mu się po duszy. Była to rozkosz z powodu doznanej krzywdy.

— Teraz moja kolej! — mruczał przez zaciśnięte zęby.

Wydało mu się, że w tej chwili dopiero zrozumiał, jak naprawdę żyć nalaży—jak gdyby się ocknął nagle z ciężkiego, chorobliwego snu, który trwał lata całe, odkąd na świat przyszedł.

Napełniła go ta myśl radosnem zdumieniem, dała mu poczucie nieznanej dotąd siły.

— Teraz moja kolej! — powtórzył i uśmiechnął się tryumfująco.

W paru błyskawicznych obrazach zarysował mu się plan wyzwolenia w mózgu. Na-

reszcie będzie mógł lżej odetchnąć — nie los go prześladował do tej pory, tylko jego własna głupota. Ale skończyło się, przejrzał na oczy.

Poprzedniego dnia jego greczynka chwaliła się przed nim pieniędzmi i kosztownościami. A on, jak dureń, patrzył na to z zazdrością; nie przyszło mu na myśl, że przecież tylko raz rękę wyciągnąć, porządnie ściśnąć... W tej porze sama bywała w domu, stara służąca przychodziła dopiero wieczorem, a zresztą, choćby nawet były obie... Ani zipnie przekłeta wiedźma...

Naprężył maskuły... Choćby stalowe kraty łamać. Miał wrażenie, że najsilniejszy człowiek nie oparłby mu się w tej chwili. Zacisnął parę razy palec.

— A, głupie ścierwo!

Myślał o niej z niewysłowioną pogardą. Widział już, jak sina, z wytrzeszczonemi oczami, zwisa mu przez ręce. Podtrzyma ją, ułoży delikatnie na podłodze, żeby, upadając, nie narobiła hałasu. Resztę w moment się załatwi. Pieniądze były w czarnym pudełku w etażerce, na drugiej półce po lewej stronie, a klucz od etażerki miała na złotym łańcuszku na szyi. Śmiać mu się chciało szczerze na myśl, że sama pokazywała mu to wszystko, napraszała się poprosta. W mo-

ment się robi. Gdyby nawet stara była w kuchni... A ze starą...

Machnął lekceważąco ręką.

Zatrzymał się przed sklepem, zajrzał do środka na zegar, wiszący nad kontuarem. Było dziesięć minut po piątej. Właśnie sam czas.

Przyśpieszył kroku.

— Najpierw do Brukseli pojedę—układał plan w głowie.—Kotkiewicza odszukam; z pieniędzmi to go nie trudno będzie znaleźć.

Coraz weselej robiło mu się na duszy, gdy myślał o tym wyjeździe. — „Wyśpię się w wagonie i będę całkiem wypoczęty na jutro...” — Z rozkoszą prawie myślał o morderstwie. Już nawet nie o pieniądze mu chodziło. Dyszał pragnieniem zemsty. Zrozumiał nagle, że wszystkie niby to namiętne pieszczoty greczynki były także tylko wyżywką. Nie mogła inaczej, więc choć w ten sposób.

— Ja cię popieszczę! — śmiał się cicho w duszy.

Zatrzymał się nagle, jak wryty. Tuż przed sobą o parę kroków ujrzał starego malarza. Ukazał mu się tak niespodziewanie, jak gdyby z pod ziemi wyrósł. Chciał go wyminąć, ale stary zastąpił mu drogę.

— Dokąd to pan tak pędzi?

— Za interesami.

— Czynne życie! — odezwał się z ironicznym podziwem.

— Do widzenia, nie mam czasu! — odburknął Michalik, wyciągając na pożegnanie rękę.

— Chwileczkę może mi pan przecież poświęcić. Kwadrans. Do interesów potrzeba świeżej myśli, a nie jej tak nie odświeża, jak to ładne letejskie źródło, przy którym wszyscy jesteśmy jednakowo równi i pokorni.

— Niech tam. Ostatecznie napiję się z panem, ale nie będziemy siadali — odezwał się nagle Michalik po chwilowym namyśle.

— Stójmy. Pozyceya ciała jest rzeczą objętną dla podniet ducha.

Weszli do pierwszego szynku, jaki im się po drodze nawinął. Michalik rzucił okiem na zegar. Było już dwadzieścia minut po piątej. — „Do wpół do szóstej“ — powiedział sobie w myśli i wiedział, że tym razem postanowienia dotrzyma. Przyjął zaproszenie starego pod wpływem zabobonu, który nagle oparował mu mózg. W podnieconej chorobliwym rozgorączkowaniem wyobraźni stary malarz wydał mu się uosobieniem losu, który go wiódł fatalistycznie do zbrodni — do tej właśnie zbrodni, która mu była przeznaczona. Tak samo niespodziewanie, jak widmo, zjawił się był na jego drodze, gdy szedł mordować Kotkiewicza, odwiódł go — i lepiej się stało.

— Pijmy! — zaskrzeczał stary. — Więc pan za interesami?

— Tak.

— Za powodzenie pańskich interesów!

Z wdzięcznością spojrział na malarza. Ale odrazu opaścił wzrok ku ziemi. Nie mógł wytrzymać spojrzenia jasnych, figlarnych oczu starego. Tliło się w nich spokojne jakieś szuderstwo, które przejmowało Michalika lękiem.

— Pan w Warszawie wojował?

— Wojowałem.

— Dla ideałów!

— Cholera! — splunął z obrzydzeniem...

Stary roześmiał się cicho.

— Niema takiej wzniosłej myśli, którejby lada łajdak po swojemu nie przerobił. I to jest nieszczęście tych wszystkich maniaków, co myślą dla innych — mrucał pod nosem, pijąc powoli wódkę.

— Rozumiem pańskie rozgoryczenie — dodał nagle po chwili zmienionym, wesołym tonem.

Już tylko jednej minuty brakło do wpół do szóstej. Michalik odstawił nerwowo kieliszek.

— Muszę uciekać.

— Doprawdy!

— Ale niech pan tu siedzi. Za pół godziny nadejdę! — krzyknął, żeby się odczepić,

bo czuł, że stary malarz będzie go chciał zatrzymać.

I nie żegnając się z nim, wybiegł na ulicę. Kamienica, w której mieszkała greczynka, była już stamtąd niedaleko. W jednej chwili znalazł się przed bramą. Biegł tak prędko, że aż mu tchu w piersiach zbrakło.

Zatrzymał się na schodach, aby ochłonać.
— Teraz trzeba spokojnie.

Nie potrzebował zresztą powtarzać sobie tego. Miał wrażenie takiego spokoju, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie doznawał. Przejęło go to dumą i radością, — czuł, że tym razem się uda. Powoli wszedł na drugie piętro, zadzwonił.

Sama otworzyła mu drzwi. Ujrzawszy go, klasnęła wesoło w dłonie i w progu rzuciła mu się na szyję.

Usunął ją zlekka. Niby przez omyłkę, wszedł do kuchni. Nie było nikogo. Ale postanowił obejść jeszcze całe mieszkanie. Pierwszy pokój służył za salonik, drugi za sypialnię. Ujął ją w pół i pociągnął za sobą do sypialni. Nawpół na migi, nawpół po francusku, zaczęła go wypytywać, czemu o czwartej nie był na skwerze. Odpowiedział jej tak płynnie, że aż się sam zadziwił. Wyrazy, które gdzieś ledwo posłyszał, przychodziły mu posłusznie na pamięć. Myśli błyskawicznie krzyżowały mu się w mózgu. W tym pokoju...

Trzeba okno zasłonić i zdjąć jej ten kołnierzyk! Miała angielską bluzkę i wysoki, sztywny kołnierzyk. Przyciągnął ją do siebie, począł całować po oczach, potem po ustach, wpijając się tak, żeby jej tchu zbrakło. Zmęczona, mrużąc oczy, usiadła na łóżku, ręce przycisnęła do piersi. Delikatnie odpiął jej kołnierzyk, wywinął bluzkę dookoła szyi. Odwrócił się, zapuścił roletę. Ona w tej samej chwili podniosła się z łóżka, wyciągnęła przed siebie ręce, oddychając głęboko.

Skoczył. Dziki, zduszony w połowie krzyk, skonał w powietrzu. Uczuł gorąco krwi na twarzy, wpiła mu się paznokciami w policzki, darła skórę i sięgała do oczu. Chciał oderwać jej rękę, pośliznął się i wyrwała mu się w tej chwili... Z całej siły uderzył ją pięścią w skroń. Padła na ziemię. Nim zdążył znów ją pochwycić za gardło, podniosła się na kolana i z dzikim, przeraźliwym krzykiem wyrznęła głową w okno.

Szyby posypały się z brzękiem na podwórze.

Michalikowi poczerwieniało w oczach. W powietrzu kotłowały się już jakieś nawoływania, krzyki... Wyciągnął z kieszeni rewolwer, strzelił na oślep, raz, drugi, trzeci... Krew zmieszana z mózgiem bryzgnęła na ściany.

Oprzytomniał na huk strzałów dopiero.
Zmarszczył brwi, otarł pot z czoła.

Do drzwi już się dobijano gwałtownie.

— Niech wywalają psiekrwie! — mruknął —
będę im może jeszcze otwierał...

K O N I E C .



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63



23.

<http://rcin.org.pl>

Korb.

361